Nr. 22 Poznań, Niedziela dnia 28 maja 1911. Rok XV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy	czteroraz. (miesięczn.)	„	15%
„	kwartalnem 13 ×	„	25%
„	półrocznem 26 ×	„	33 1/3%
„	rocznem 52 ×	„	50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 87.









Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty.

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für den Monat Juni die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den .... 1911.

Kaiserl. Post ....

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für den Monat Juni die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,50 M. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den 1911

Kaiserl. Post ....

Polecamy następujące książki:

(Towarzystwom, które chcą zakupić całą kolekcyą do swej biblioteki dajemy 15% rabatu)

	Cena franco.
Tadeusz Rejtan. Wspomnienie historyczne z ilustracyami. Napisała Jadwiga Strokowa	Mk. 0,40
Franciszkanie i Bernardyni w Nowem nad Wisłą. Przyczynki do historyi południowego Pomorza. Nap. Konstanty Kościński	„ 0.40
Jaka siejba — takie żniwo. Obrazek ludowy współczesny w 6 odsłonach ze śpiewami. Nap. Szczęsny Ostoja	„ 0,40
Głowa za głowę. Nowelka z za kordonu	„ 0,15
„Pamięci Adama Mickiewicza." Nap. ks. Leon Fórmanowicz	„ 0,15

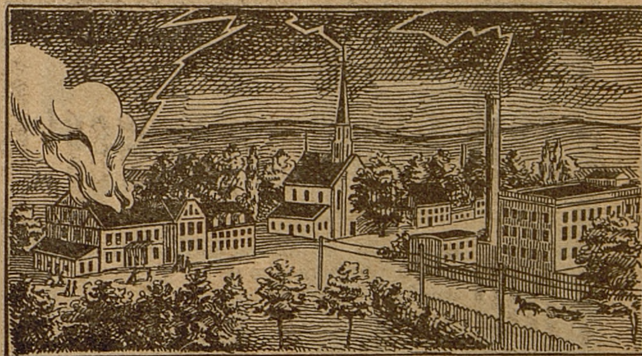
Telefon 97.

Księgarnia Nakładowa „Pracy"

Sp. z o. p.

POZNAŃ

Rycerska 38.



Nr. 22. Poznań, dnia 28 maja 1911 r. Rok XV

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie . . 1,50
z odnoszeniem
do domu. . . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. [illegible]
Telefon Nr. [illegible]
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

Treść: Ultima ratio — Herder o Słowianach. — Nasze browary — Wolsztyn i jego dziedzice. — Joachim Lelewel. (W 50 tą rocznicę śmierci). — Nasze pamiątki — W rocznicę zgonu Orzeszkowej w Grodnie. — Międzynarodowa wystawa dla podróży i ruchu osobowego w Berlinie. — 25 lat. — Z bieżącej chwili. — Odezwa Stowarzyszenia Przymusowej Oszczędności „O własnych siłach“ w Berlinie. — Kronika. — Nekrologia. — Nowe książki i treść pism. — Od Redakcyi. — Na niedźwiedzia. — Pieśń fal. (Wiersz.) — Kos — zwiastun wiosny. — Przywyknienia koronowanych osób. — Wonnym puchem obsypał maj drzewa. (Wiersz.) — Dział kobiecy: Kobieta lekarką. — Dzieło techniki nowożytnej: Kanał panamski. — Dobrego śladem. (Wiersz.) — To i owo. — Przy okienku. (Wiersz.) — Kalendarzyk historyczny. — Humor i satyra. — Zagadka. (Arytmogryf.) — Nasz kącik. — Reklamy. — Ogłoszenia.

Powiesci: Tajemnica morza. (Ciąg dalszy.) — Kamienna wola. (Ciąg dalszy i dokończenie.)

Illustracye: albumowa: Powrót z pastwiska. — Starożytny kościół św. Jadwigi w parku książęcym w Pszczynie na Górnym Śląsku. — Pomnik ks. biskupa sufragana Bogedeina tamże. — Joachim Lelewel. — † Eliza Orzeszkowa. — Dom Elizy Orzeszkowej w Grodnie. — † Ignacy Andrzejewski. — St. Chmielewski. J. Ganke. B. Samoliński. — Ks. prob. Gryglewicz. — Monis, prezes ministerstwa francuskiego. — Pasterka. — Spowiednik. — W drodze na łowy. — Pierwsza próba — Dwie ryciny satyryczno-humorystyczne: a) Niemcy na wystawie w Poznaniu, b) Rozumowanie poety. — Rycina do powieści: „Tajemnica morza.“

Ultima ratio.



W rozprawach nad memoryałem komisyi kolonizacyjnej w sejmie oświadczył minister rolnictwa baron Schorlemer, iż rząd nie może zmienić stanowiska zajętego w sprawie polskiej, uważa wszakże ustawę ekspropryacyjną, a raczej jej zastosowanie w praktyce jako ultima ratio, jako środek ostateczny, którego nie zawaha się zastósować, gdy stosunki tego będą wymagały. Myśl przeprowadzenia ostatniego zagonu polskiego w ręce niemieckie uważa minister za przedsięwzięcie równające się mordowi młodzianków betleemskich. Jednakże starać się będzie o utrzymanie i powiększenie własności niemieckiej do tego stopnia, by ona w dzielnicach polskich dominujące zajęła stanowisko. Lecz także i tę czynność uważa rząd tylko za część swej pracy antypolskiej, albowiem zdaje sobie sprawę z tego, że postępując wyłącznie tylko drogą kolonizacyi, kwestyi polskiej rozwiązać niepodobna.

Wskazawszy na przygotowującą się antypolską ustawę parcelacyjną, która prawdopodobnie przyszłemu sejmowi przedłożoną będzie, zwrócił się minister jeszcze raz do ostmarkenvereinu i zaznaczył, że jakkolwiek nie miał zamiaru zaczepiać tego towarzystwa i powątpiewać o jego zasługach (?), to jednak miał prawo i obowiązek wystąpić z całą stanowczością przeciwko bezpodstawnym i uwłaczającym rządowi posądzeniom, przeto nie może swego oświadczenia ani cofnąć ani też osłabić. Zresztą jest minister zdania, że gdyby wszystkie żądania hakatystyczne spełniono, natenczas przyprawiłoby to prawdopodobnie politykę kolonizacyjną do ruiny i przyczyniłoby się do czegoś zupełnie przeciwnego temu, co rząd polityką swoją osiągnąć się spodziewa.

Z mowy tej wynika jasno, że o żadnej zasadniczej zmianie w polityce antypolskiej rządu pruskiego nie może być mowy. Nie zmienia w tem nic rozbrat chwilowy pomiędzy rządem a ostmarkenvereinem. Częściej niż raz wykazywaliśmy na tem miejscu, że porażka towarzystwa hakatystycznego nie oznacza bynajmniej upadku samego hakatyzmu. Zapuścił on tak u rządu jak w szerokich kołach społeczeństwa niemieckiego zbyt głęboko korzenie, ażeby pierwszy szron zwarzyć miał tę tak bujną zresztą roślinę.

Należy na to zwrócić uwagę i to tem bardziej, o ile ostatniemi czasy nie brak było wydarzeń zdolnych zbałamucić nieściśle politycznie myślących ludzi. Zaprzeczyć się nie da, że począwszy od ingresu cesarskiego na zamek poznański, a skończywszy na bardzo sympatycznem znalezieniu się księcia następcy tronu na wystawie wschodnio-niemieckiej, zaszedł szereg faktów, które przesadny optymizm łacno mógłby uważać za symptomy przygotowującego się jakoby zwrotu w polityce antypolskiej. Naszem jednak zdaniem nie ma w tem nic takiego, coby uprawniało do jakichkolwiek uzasadnionych w tej mierze przypuszczeń. Idziemy tak daleko, że twierdzimy, iż nawet jasne i niedwuznaczne odrzucenie całej ustawy ekspropryacyjnej (gdyby do tego przyszło) nie możnaby uważać za taki symptom stanowczego zwrotu. Świadczyłoby to tylko o pewnem otrzeźwieniu. Rzeczywisty zwrot w innej dziedzinie polityki antypolskiej nastąpić powinien, mianowicie w dziedzinie językowej. A w tej materyi na najlżejsze nawet nie zanosi się ulgi.

Że wywłaszczenie ma być t. zw. ultima ratio, to wiedzieliśmy od dawna. Wszakżeż nawet sam ojciec tej ustawy ks. Bülow za takową ją uważał. Wszakżeż tylko daleko idącemi przyrzeczeniami zdołał nakłonić feodałów niemieckich do głosowania za tą ustawą. Wszakżeż sam jej w życie nie wprowadził. Nie powiedział zatem p. Schorlemer nic nowego i dziwić się trzeba hakatystom, że z tego tytułu tak ostre mu robią zarzuty i że sprowokowali scysyę bądź co bądź dla nich niekorzystną.

Czas jednak był największy, żeby rząd zabrał się do nieco krytycznego rozpatrzenia się w niesumiennej hecy uprawianej przez towarzystwo trzech liter. Przekonał się przynajmniej, jakiemi to środkami i sposobami pracuje to sławetne bractwo. Może też z czasem zdoła zgłębić, z jakich to niepięknych źródeł płynie rzekomy patryotyzm tych najgłośniejszych wołaczy w walce.

Na koniec zaznaczyć należy, że przy obradach nad memoryałem komisyi kolonizacyjnej wygłosił poseł nasz p. mecenas Trąmpczyński, znakomitą mowę, w której wypowiedział rządowi i par-

tyom, szczególnie konserwatystom, szereg bardzo bolesnych prawd i tak ustawę o wywłaszczeniu jak całą antypolską politykę potępił ze stanowiska prawnego, etycznego i politycznego. Ponieważ mowę tę podały już wszystkie niemal pisma codzienne, przeto nie będziemy jej streszczali, podamy tylko końcowy jej ustęp, którego każde słowo podpisujemy.

Przypuśćmy — tak wywodził nasz poseł — że ziszczą się wasze marzenia, że rozlokujecie Polaków inaczej, niż dzisiaj mieszkają, i, że zmniejszycie ich liczbę częściowo np. z 4 milionów na 3 miliony. I cóż wam to pomoże? Przez lepsze komunikacye corocznie zmniejszają się odległości, a więc im dłużej, tem więcej tracą na znaczeniu. A cóż pomoże zmniejszenie liczby Polaków? Zamiast 4 milionów pracowitych i spokojnych ludzi, na których, jak to wam poświadczą urzędnicy administracyjni, dotąd rzeczywiście skarżyć się nie mogliście, otrzymacie za 20 lub 40 lat 3 miliony ludności, która *śmiertelnie nienawidzić będzie wszelkie urządzenia państwowe*. Takie będziecie zbierali owoce dla państwa, jeśli będziecie kontynuowali waszą dzisiejszą politykę. Bo nasz prosty człowiek np. co do szkoły, która obliczona jest na wynarodowienie jego dziecka, nie będzie umiał sobie powiedzieć, że najgorsza szkoła jest lepszą, niż żadna; że policya, która szykanuje go na każdym kroku, która mu nie pozwoli dachu nad głową wybudować, która nie pozwoli dziecku uczyć się ojczystego języka, że policya pomimo to w innych rzeczach może być potrzebną i konieczną; nie będzie umiał rozróżnić pomiędzy instytucyami, które są uosobieniem bezprawia, jak komisya kolonizacyjna, a innemi instytucyami państwowemi, które są konieczne.

Jeśli dotąd pod tym względem nie nastąpiły jeszcze stosunki niebezpieczne, jeśli lud polski dotąd, pomimo wszelkiego ucisku, zachował spokój i równowagę, to zawdzięczacie to tylko temu, *że umieliśmy w ludzie naszym zachować silną wiarę w wieczystą sprawiedliwość Bożą, która nie pozostawia żadnej krzywdy bez pomsty. A wiarę tę zachowamy, chociaż wy polityką swą antypolską staracie się udowodnić, że wiara ta jest przesądem!*

Ze wszystkich prawd społecznych najmniej podpada wątpliwości ta jedna, że rozwój oświaty prowadzi za sobą i rozwój moralności.

Henryk Sienkiewicz.



Herder o Słowianach.

W książce Herdera „Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit“ — czytamy:

Słowiańskie ludy zajmują na ziemi większą przestrzeń aniżeli w historyi z pomiędzy innych przyczyn także dlatego, ponieważ w większej żyli odległości od Rzymian. Poznajemy je naprzód nad Donem, później nad Dunajem, tam pomiędzy Gotami, tu pomiędzy Hunami i Bułgarami, z którymi często państwo rzymskie bardzo niepokoili, po największej części tylko jako wespół-pociągnięte, pomagające lub służące ludy. Mimo ich czyny tu i ówdzie uwydatnione, nie byli Słowianie nigdy przedsiębiorczemi, wojowniczemi i awanturniczemi ludami jak Niemcy; raczej posuwali się pocichu w ślad za Niemcami i obsadzali opróżnione przez nich miejsca i kraje, aż posiedli na koniec olbrzymi kawał ziemi sięgający od Donu po Łabę, od Bałtyku do Morza Śródziemnego. Od Lüneburga począwszy ciągnęły się ich siedziby poprzez Meklemburgię, Pomorze, Brandenburgię, Sasy, Łużyce, Czechy, Morawę, Śląsk, Polskę, Rosyę z tej strony Karpat; a po tamtej stronie tych gór, gdzie rychło już osiadli na Wołoszczyźnie i Multanach, rozszerzali się, poparci przez rozmaite wypadki, coraz dalej i dalej, aż ich cesarz Herakliusz także do Dalmacyi wpuścił.

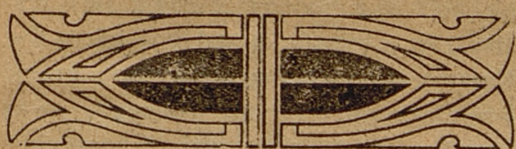
Z czasem stały się ludy słowiańskie założycielami królestw: Slawonii, Bośni, Serbii, Dalmacyi. W Panonii również licznie się rozmnożyły, z Friaulu obsadziły także południowo-wschodni skrawek Niemiec, tak, że ziemie ich zamykały się Styryą, Karyntyą, Krainą; najpotworniejszy kawał ziemi, który w Europie jeden szczep po największej części dziś jeszcze zamieszkuje. Wszędzie osiedlali się Słowianie, aby posiąść kraj od innych ludów opuszczony, aby go jako koloniści, pasterze lub rolnicy użyźnić i żyć na nim. Zatem niehałaśliwa ich i pracowita obecność korzystna była dla krajów wyniszczonych uprzednie mi rabunkami i wędrówkami ludów. Kochali rolnictwo, zapas trzód i zbóż, a także rozliczne domowe sztuki, i uprawiali wszędzie użyteczny handel produktami swej ziemi i osobistej pracowitości. Wzdłuż Bałtyku od Lubeki począwszy wybudowali byli miasta nadmorskie, pomiędzy którėmi Wineta, położona na wyspie Rugii, słowiańskim była Amsterdamem; również komunikowali się z Prusakami, Kuryjczykami i Łotyszami, jak to język tych narodów wykazuje. Nad Dnieprem Kijów, nad Wołchową Nowogród wybudowali. Osady te wcześnie stały się kwitnącemi miastami handlowemi, gdyż łączyły Morze czarne z Bałtykiem i pośredniczyły w handlu pomiędzy wschodem a północno-zachodnią Europą.

W Niemczech uprawiali górnictwo, znali się na topieniu i laniu kruszców, warzyli sól, tkali płótno, przetwarzali miód, sadzili drzewa owocowe i pędzili w swoim rodzaju wesołe, muzykalne życie. Byli dobroczynni, gościnni do rozrzutności, lubownikami swobody sielskiej, lecz byli posłuszni i wrogami rabunku i dewastacyi. Wszystkie te zalety nie obroniły ich przed uciemiężeniem; owszem przyczyniły się nawet do tego. Ponieważ bowiem nie ubiegali się o panowanie nad światem, ponieważ nie posiadali za wojną dyszących, dziedzicznych książąt i raczej woleli okup płacić byle tylko mogli ziemię swą w spokoju zamieszkiwać: przeto niektóre narody, a najwięcej narody niemieckiego szczepu ciężko przeciwko nim grzeszyły.

Już za Karola Wielkiego rozpoczęły się owe wojny ciemięzkie, które jawnie miały na celu korzyści handlowe, lubo interes wiary chrześciańskiej podawały za pozór: toż bohaterskim Frankom musiało być bardzo wygodnie traktować jak parobków pracowity i rolnictwo i handel uprawiający lud miasto samym uczyć się tych umiejętności i je wykonywać. Co rozpoczęli Frankowie, to dokończyli Sasi; w całych prowincyach wytępiono Słowian lub obrócono ich w poddanych, a ziemie ich rozdano między biskupów i szlachtę.

Handel słowiański nad Bałtykiem zniszczyli północni Germanie, ich Wineta dzięki Duńczykom smutny wzięła koniec, a resztki ich w Niemczech są podobne temu, co Hiszpanie z Peruańczykami uczynili. Czyż byłoby dziwem, gdyby po kilkuwiekowem najgłębszem rozgoryczeniu tegoż szczepu miękki jego charakter obniżył się do ponurej gnuśności niewolników? A jednak wszędzie, szczególnie w krajach, gdzie mają niejaką wolność, stare piętno ich charakteru wyraźnie się uwydatnia. Nieszczęśliwym stał się ten szczep przez to, że z powodu zamiłowania swego do spokoju i domowej pracowitości, nie potrafił sobie nadać trwałej organizacyi wojennej, mimo, że nie brakło mu waleczności w gorą-

cej walce obronnej. Nieszczęśliwym, bo położenie jego pomiędzy ludami z jednej strony zbliżało go tak bardzo do Niemców, z drugiej zaś strony zostawiało tyły jego nie zabezpieczone przed wszelkiemi napadami wschodnich Tatarów, od których, a nawet od Mongołów, on tak wiele zniósł i tak wiele wycierpiał. Tymczasem jednak koło zmieniającego wszystko czasu obraca się niepowstrzymanie; i ponieważ narody słowiańskie zamieszkują po największej części najpiękniejsze ziemie w Europie, ponieważ też nie da się inaczej pomyśleć, tylko że w Europie ustawodawstwo i polityka w miejsce ducha wojennego coraz więcej cichą pracowitość i spokojne stosunki wzajemne pomiędzy ludami popierać musi i popierać będzie: przeto i wy, tak głęboko upadłe, a kiedyś tak pracowite i szczęśliwe ludy słowiańskie, przeto i wy wreszcie, kiedyś obudzone z długiego, gnuśnego snu, posiądziecie znów na własność wasze piękne krainy rozciągnione od Morza Śródziemnego aż po Karpaty i od Donu aż do Muldy, i będziecie mogły na nich święcić wasze stare biesiady pracowitości spokojnej i handlu.



Nasze browary.

Nie przesądzam, jeżeli powiem, że nie masz drugiego artykułu spożywczego, który tak szalonym cieszy się odbytem, jak piwo. Konsumcya tego napoju miliardowe powoduje obroty i takież odrzuca zyski. Zaciekawiony, jakie stanowisko w tym koncercie piwiarskim zajmują nasze browary, badałem stan rzeczy na miejscu, osobiście. — Niestety rezultat tych zabiegów rozgoryczył i zasmucił mnie bardzo, bo błogie złudy rozproszyła smutna rzeczywistość!!

Ponieważ zaś sprawa nader ważna i piekąca, postanowiłem omówić ją publicznie, a może — a może — przyszłość owocniejszy i jaśniejszy odsłoni nam widnokrąg!

Browary nasze, bardzo jeszcze nieliczne, nie imponują kolosalnemi rozmiarami, ale zbudowane podług nowoczesnej techniki, zaopatrzone są w narzędzia i przybory najnowszych wynalazków. Wyroby zaś prawie wszędzie nie ustępują pod żadnym względem wyrobom browarów niemieckich i żydowskich. Przeciwnie powiedziałbym, że piwa polskie, mianowicie jasne, w smaku o wiele pełniejsze i treściwsze aniżeli obce.

Właściciele lub przedstawiciele tych naszych browarów, z całą uprzejmością wtajemniczali mnie w wszelkie detalia fabrykacyi i przeróbki. Niestety kiedy na odjezdnem zapytałem o powodzenie, to wszędzie spostrzegłem złowrogie poruszenie ramion i oświadczenie, że to walka rozpaczliwa, — suchotniczy tylko dająca żywot. Przygnębiony i zadumany, przybywam do kresu — do ostatniego etapu wycieczkowych mych zdobyczy i spostrzeżeń tj. do Miłosławia.

Browar stojący przy samym wjeździe do miasteczka z piękną willą i ogrodem, dodatnie robi wrażenie. Właściciel zaś, człowiek uprzejmy, młody, pełen otuchy i zapału do pracy, na oścież otwiera podwoje, oprowadza, tłomaczy i wyjaśnia sposób fabrykowania i przechowywania piwa w sposób jasny i przejrzysty. Po tej inspekcyi udajemy się do biura, gdzie nas dwa dzbany — jasnego i ciemnego piwa oczekują. Pijemy — próbujemy — i z zadowoleniem podnieść muszę, że jedno i drugie, to wyrób wprost wyśmienity. A powodzenie jakie? — pytam w końcu — na co właściciel, ku memu zdziwieniu znacząco wznosi ramiona, zakłada dłonie i szepce — twarda to i mozolna praca z dnia na dzień!! Jak pod wpływem prądu elektrycznego skoczyłem z miejsca i pytam: — panie — na czem to zależy — przecież produkt wyśmienity, nie dający powodu do zażalenia?? — Największa zapora, powiada, to brak zrozumienia hasła „swój do swego“, a dalej niezliczone żydowskie i niemieckie kapitały, inwestowane w tem przedsiębiorstwie. W każdej mieścinie mają żydowskie browary odbiorców swoich takich, którzy skrępowani zobowiązaniami nie myślą wcale o zerwaniu stosunków, forsując po prostu wyroby nie swojskie. A polskie społeczeństwo co? Nietylko, że toleruje, godzi się na to, ale w częstych przypadkach przekłada towar żydowski nad wyroby swojskie — bez uzasadnienia.

Gdyby społeczeństwo *żądało* wyraźnie i wszędzie swojskich wyrobów, nie pozostałyby nam tylko okruchy.

Wobec takiego obrazu, który dziś wiernie naszkicować się starałem, zapytać się muszę całego społeczeństwa, co wobec takich faktów począć i jaka na to rada? Co powie nasz Poznań z owemi sławetnemi Domami Przemysłowemi i nieprzemysłowemi, w których koncentruje się cała Polonia, a w których nie masz ani jednej szklanki piwa naszego wyrobu?

Węzeł ten gordyjski przeciąć może tylko silna, wytrwała wola całego społeczeństwa. Właściciele naszych piwiarń troszczą się o to, aby codziennie nabić wory trojakami za sprzedane kufle, a skąd piwo pochodzi, to dla nich rzecz podrzędnego znaczenia. Wobec takich stosunków obowiązkiem i zadaniem każdego z nas żądać wszędzie i zawsze piwa tylko z naszych browarów, kontrolować, czy takowe rzeczywiście dostajemy, bo tylko w ten a nie inny sposób potrafimy zagoić rany od szponów, które już głęboko wżarły się w ciało narodu. Rozejrzyjmy się spokojnie i trzeźwo w obecnej sytuacyi!! Toć ziemia, której wkrótce na grób zabraknie, przestanie być podporą naszej egzystencyi.

Żyć trzeba, więc na polu przemysłu trza będzie szukać życiodajnych źródeł i jeżeli one tak nikły i marny dadzą karm, to biada nam! Biada narodowi, który w chwilach tak strasznego przełomu — hasło „ramię do ramienia“ uważa za czczy tylko frazes.

Poznań, w maju 1911.

Juliusz Grabowski.

Bywają ludzie tak weseli i wesołości tylko pragnący, że wszelki smutek, który zjawi się w ich pobliżu, wydzielić usiłują z życia, jak kroplę trucizny z napoju. Dość jest ukazać im twarz smutną, aby utracić miejsce w ich sercu, albo wskazać na rzecz smutną, aby się obecności ich pozbawić.

I dziwnem jest to, że ci najweselsi w świecie ludzie, świat zaprawiają największą dozą smutku.

Eliza Orzeszkowa.

* * *

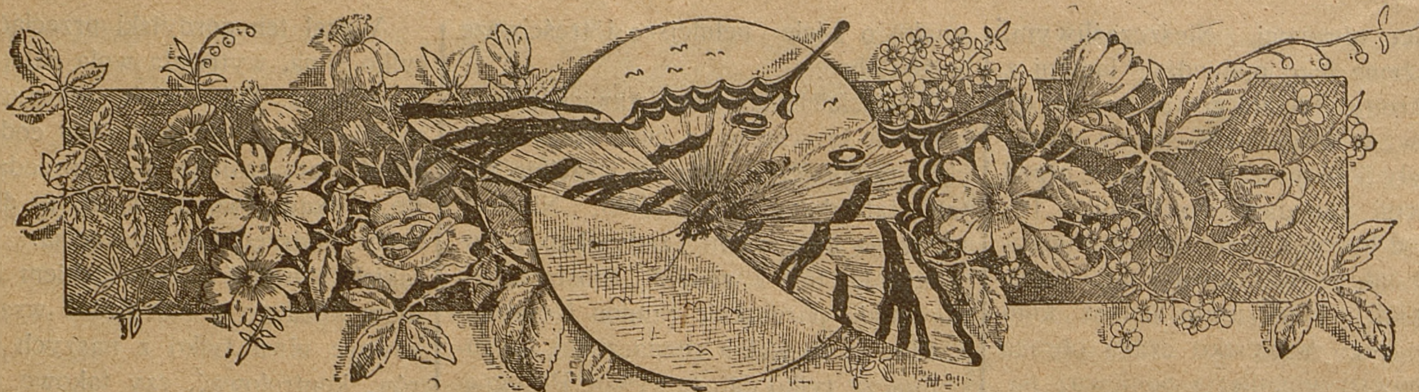
W pocie czoła swojego, powiedziano, utrzymywać będziesz życie swoje, w pocie tylko czoła twojego, dodajmy, dochodzić będziesz stopniowo do poznania praw rządzących światem, i prawdy, która ludźmi rządzić powinna.

Józef Supiński.

* * *

Szczęście znikłą jest chwilką,
Jest krótkim wypoczynkiem wśród trudów i znoi.

Narcyza Żmichowska.



Wolsztyn i jego dziedzice.

Skreślił
Dr. Stanisław Karwowski.

Już w XIII wieku istniała w dzisiejszym powiecie babimojskim wieś *Komorowo,* której dziedzic komes *Luderus* wraz z synem Peregrynem, a z wolą swych braci i przyjaciół dał w Poznaniu dnia 29 czerwca 1284 r. opatowi oberskiemu Janowi i całemu konwentowi młyn w Niałku, pozwalając zatamować płynący z jeziora Karpicko strumień i urządzić jaz czyli groblę przez bagno, przez które ów strumień przepływał, bieżąc przez wieś Komorowo na młyn w Niałku. Nadto pozwolił Luderus klasztorowi oberskiemu brać ziemię i chróst na ów cel z dóbr swoich. Klasztor zaś zobowiązał się mleć obydwom, ojcu i synowi, dopókiby żyli, zboże darmo, a ich następcom ćwiertnię.

Świadkami darowizny byli komesy: Tomisław, wojewoda poznański, Gniewomir, sędzia poznański, Janusz, podczaszy, Burgard z Rataj, Wojciech z Karpicka, Piotr, kasztelan poznański, i inni.[1])

Po ojcu odziedziczył Komorowo *Peregryn,* który jeszcze 1326 r. występuje jako podczaszy.[2])

Synem Peregryna był zapewne *Swantomir,* który zbudował sobie młyn w Komorowie, ale na skargę opata oberskiego Rolanda przez sędziego poznańskiego Dobiesława skazany został dnia 30-go kwietnia 1364 r. na zniesienie go.[3])

W r. 1384 był dziedzicem Komorowa *Peregryn,* zapewne syn Swantomira, zwany Karpickim od włości swej Karpicka, którą wraz z Tłokami zastawił za 300 grzywien klasztorowi paradyskiemu.[4])

Za te dwie zastawione wsie, Karpicko i Tłoki, daje klasztorowi paradyskiemu syn Peregryna Karpickiego *Grzymek* dnia 14 stycznia 1393 r. wieś Godziszewo, którą dostał od króla Władysława Jagiełły.[5])

Godziszewo przeszło niebawem w posiadanie Kuncza z Bomsdorfu, od którego nabywają je dnia 10 stycznia 1397 r. synowie Peregryna z Komorowa czyli Karpickiego, *Grzymek i Mikołaj,* zwani *z Kąt,*[6]) ale już dnia 2 lutego tegoż roku wymieniają tę wieś na „posiadłości“ klasztoru paradyskiego Karpicko i Tłoki [7]), które widocznie po roku 1393 przeszły znów w posiadanie klasztoru paradyskiego.

Obadwa dokumenty z r. 1397 spisane są w języku niemieckim.

Na gruncie wsi Komorowa nad rzeczką Doycą, pomiędzy dwoma jeziorami, założyli tegoż dziedzice, prawdopodobnie owi bracia Grzymek i Mikołaj, w końcu XIV lub na początku XV wieku miasto *Wolsztyn.* Dnia 14 listopada r. 1440, występuje w Poznaniu przy pewnej czynności urzędowej Czesława z Kurozwęk, kasztelana wiślickiego, starosty wielkopolskiego, jako świadek *Mikołaj Komorowski,*[8]) który był zapewne bratem Grzymka i pierwszym dziedzicem Wolsztyna. W każdym razie istniał Wolsztyn już w r. 1458, gdyż — jak opiewa dokument z tegoż roku— miał dostarczać na wojnę czterech żołnierzy.[9])

Wolsztyn[10]) pogorzał całkiem w r. 1469. Zaczem ówczesny dziedzic, *Andrzej z Sepna,* może syn Mikołaja Komorowskiego, odnowił w niedzielę Adorate tegoż roku pierwotny przywilej miejski w przytomności wójta Myklasza, burmistrza Jana Czecha, w którego domu akt spisano, i rajców Jana Kusza, Mikołaja Świetlika, Jakóba starszego, Jana Czarnego, Piotra, krawca, i innych.

Przywilejem tym nadawał dziedzic miastu prawo magdeburskie, oraz ogrody, poczynające się od ogrodu przy plebanii w Komorowie, gdzie się wychodziło z miasta, przed kościołem św. Katarzyny, a ciągnące się do granic wsi Berzyny i młyna wodnego, oraz ogrody, położone ku wsi Chorzenino. Nadał też targowe, które mieli opłacać przybywający skądinąd do miasta, i to od woza 1—2 groszy, pozwolił założyć cech balwierzy (którym wydzierżawiano łaźnie publiczne) i dał zapewnienie, że pleban bez pozwolenia dziedzica, a woli mieszczan nie będzie ustanawiał nauczyciela. Ktoby się gwałtu w mieście dopuścił, miał być uwięziony, a jeżeliby był śmiercią karany, nie miano więcej o nim wspominać.[11])

Na początku XVI wieku należał Wolsztyn do braci *Jana i Andrzeja Ilowteckich,* którzy w obecności Andrzeja Włościejewskiego i Jana Tłockiego w sobotę po ś. Katarzynie 1507 r. podzielili się dobrami wolsztyńskiemi: jeziorami, lasami, polami itd., przyczem Andrzejowi przypadło siedm jatek rzeźnickich w mieście. Komorowo otrzymał Jan, Karpicko Andrzej.[12])

---

[1]) Kodeks Wielkopolski, I., 557. Przywilej Luderusa potwierdził Władysław Jagiełło w Łęczycy 6-go maja 1431. K. W. V. 510.

[2]) Ib. 949, 968, 1009, 1021, 1069.

[3]) Ib. 1520.

[4]) Ib. 1817, 1930.

[5]) Ib. 1930.

[6]) Ib. 1975.

[7]) Ib.

[8]) Ib. V. 650.

[9]) H. Wuttke, Städtebuch des Landes Posen. Leipzig 1877.

[10]) W dodatku do **„Posener Zeitung“** z r. 1896 nr. 4. znajduje się artykuł p. t. „Wollstein in Wort und Bild von Hermann Becker.“ Jest to bardzo nieudolna praca, pełna bałamuctw i błędów, nazwiska polskie całkiem są poprzekręcane. — Artykuł o Wolsztynie w **Słowniku Geograficznym** jest dosłownem tłomaczeniem ustępu o Wolsztynie **H. Wuttkego,** Städtebuch des Landes Posen. Leipzig 1877. Źródło nie podane.

[11]) Archiwum p. Stefana hr. Mycielskiego w Wolsztynie. Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej i jej dawnych właścicieli.

[12]) Tamże.

W r. 1534 zapisują w grodzie poznańskim we wtorek po Trzech Królach na Wolsztynie *Mikołaj i Jakób Iłowieccy* 200 dukatów na wyderkaf altarzyście kościoła w Świerczynie, od których miał tenże pobierać 10 grzywien rocznego czynszu. [13])

W r. 1548 miasto pogorzało.[14]) W r. 1569 w Poznaniu nazajutrz po ś. Łucyi dzielą się znów dobrami *Jan i Łukasz Iłowieccy*, synowie niegdy *Jakóba i Anny Głazowskiej*. Starszy Jan bierze połowę Białężyna w powiecie poznańskim z dworem i dodatkiem 2000 złp., a młodszy *Łukasz* miasto Wolsztyn i wsie Karpicko i Komorowo. Obydwaj zaś zobowiązali się płacić ciotce swej, zakonnicy w Owińskach, roczny czynsz od wyznaczonej jej przez ojca sumy.[15])

Już w końcu XVI wieku część dóbr wolsztyńskich przeszła w posiadanie Powodowskich, podaje bowiem 1583 r. do oblaty w grodzie poznańskim ów podział z r. 1569 *Baltazar Powodowski*[16]) herbu Łodzia, który w r. 1585 nabył także Tłoki za 4600 złp. od Wacława Słupskiego.[17])

W r. 1603 byli dziedzicami Wolsztyna *Jan Iłowiecki* i *Jan Powodowski* [18]), a nieco później *Stanisław Iłowiecki* i *Wojciech Powodowski*, którzy „jako miasteczka Wolsztyna na dziedzinie Komorowa z dawna zasadzonego dziedzice" zawarli z opatem oberskim Andrzejem Chlewskim za pośrednictwem obopólnych przyjaciół układ o strumień „z jeziora wolsztyńskiego Karpicko nazwanego na młyn konwentu oberskiego Niałek rzeczony bieżący"[19]). Do tych samych należały wieś Karpicko i Nowy młyn [20]).

W r. 1611 znów wielki pożar zniszczył miasto, a zaledwie się z gruzów podźwignęło, spotkała je ta sama klęska w r. 1634 [21]).

Wówczas była dziedziczką Wolsztyna, jako też Tuchorza i innych włości *Anna z Ujazdu Miękicka* [22]), gorliwa luterka. Ona to sprowadziła ze Śląska, Luzacyi i innych sąsiednich krajów swych współwyznawców niemieckiej narodowości do Wolsztyna i tam im kościół zbudowała. Byli jednak za niej i Polacy augsburskiego wyznania w mieście.

Rodzonym bratem Anny z Ujazdu Miękickiej był wedle jej własnego zeznania [23]) Jan z Miękisza Miękicki [24]), synem jej zaś Władysław, który, zdaje się, umarł przed matką, zmarłą dnia 20 sierpnia 1646 r.

Z dwóch córek Anny z Ujazdu Miękickiej, także gorliwych luterek, wyszła jedna za dysydenta Jana Żychlińskiego, druga, *Barbara*, za *Wojciecha Powodowskiego* [25]), który umarł 1643 r.

Po śmierci męża i matki objęła Wolsztyn *Barbara z Miękisza Wojciechowa Powodowska*, wielka lutrów wolsztyńskich dobrodziejka, po jej zaś zgonie w r. 1654 został dziedzicem Wolsztyna z przyległościami syn jej, *Piotr Powodowski*, katolik, który zbiegłych do Niemiec w czasie wojny szwedzkiej lutrów wolsztyńskich sprowadził 1659 r. napowrót do Wolsztyna i przywileje, nadane im przez babkę i matkę, potwierdził [26]).

W r. 1659 zrezygnował Piotr Powodowski Janowi Krasowskiemu Tłoki za 12.000 złp. [27])

W r. 1668 znowu wielki pożar nawiedził Wolsztyn [28]).

W r. 1671 powstało w Wolsztynie bractwo strzeleckie, któremu na prośbę Piotra Powodowskiego król Michał dał w Warszawie dnia 6 lutego 1671 r. przywilej, w języku łacińskim napisany[29]).

Wkrótce potem został dziedzicem Wolsztyna *Łukasz z Goraja Gorajski* herbu Orla, podstoli poznański, mąż *Anny z Powodowa*, zapewne córki Piotra. — Wspominają ich akta kościelne w r. 1673 i 1674. Oboje potwierdzili przywilej luterski Piotra Powodowskiego [30]).

Atoli już 1675 r. przeszedł Wolsztyn w posiadanie i na własność *Macieja na Niegolewie Niegolewskiego*, herbu Grzymała z mężem, chorążego wschowskiego, który w tymże roku dnia 3 sierpnia zapisał w obecności Macieja Mielżyńskiego na „świeżo kupionych" dobrach wolsztyńskich 1500 złp., odebranych z rąk Wojciecha Kowalkowicza, plebana sieleckiego i proboszcza św. Ducha w Wolsztynie [31]), a 1678 r. zawarł z gminą luterską układ, mocą którego gmina zobowiązała się dawać dziedzicowi rocznie drugą (więc poprzednio dawano jedną) sztukę sukna i 40 złp., dziedzic zaś zobowiązał się zwrócić jej starą szkołę i bronić wolności religii [32]).

Maciej Niegolewski [33]) był też dziedzicem Berzyny i Niałku Małego. Bór w tych wsiach sprzedał w r. 1693 za 8000 złp. Adamowi Bielińskiemu, dziedzicowi Kębłowa [34]).

Za jego rządów spaliła się znowu część miasta w r. 1696.

W r. 1709 zdziesiątkowało ludność wolsztyńską morowe powietrze, którego ofiarą padło 1400 mieszkańców, pomiędzy nimi pastor Samuel Unger z całą rodziną i bratem, kantorem Krzysztofem [35]).

W r. 1718 było w Wolsztynie [36]) katolickich ojców rodzin 43, luterskich 47, a żydowskich 7.

Wtenczas był już dziedzicem Wolsztyna syn Macieja, *Kaźmierz Niegolewski*, starosta powidzki, który ciężkim się okazywał lutrom wolsztyńskim, jak o tem obszerniej w rozdziale o kościele luterskim. Tenże Niegolewski sprzedał

---

[13]) Tamże. Akta Adama Gajewskiego.

[14]) Zapisek w księgach kościoła luterskiego w Wolsztynie. Z takich zapisków, oraz z starych dokumentów ułożył pastor wolsztyński Henryk Gerlach w pierwszej połowie XIX. wieku bardzo zajmującą historyą ewangelicko-luterskiej gminy w Wolsztynie p. t. „Geschichte der ewangelisch-lutherischen Gemeinde und Kirche in Wollstein," która w rękopisie znajduje się w archiwum tamtejszego kościoła luterskiego. Udzielił mi jej łaskawie do przejrzenia p. superintendent Lierse z Wolsztyna, za co mu na tem miejscu składam podziękowanie.

[15]) Archiwum p. St. hr. Mycielskiego. Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej.

[16]) Archiwum p. Stefana hr. Mycielskiego z Wolsztyna. Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej.

[17]) Tamże.

[18]) Tamże. Akta, tyczące się kościoła wolsztyńskiego.

[19]) Tamże. Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej. Dokument uszkodzony, brakuje roku ugody.

[20]) Tamże.

[21]) Historya kościoła luterskiego.

[22]) Archiwum p. Stefana hr. Mycielskiego. Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej.

[23]) Testament jej córki Barbary z r. 1654 w Aktach konsystorskich poznańskich.

[24]) Wedle Niesieckiego byli Miękkiccy herbu Trzy Trąby. Z tej rodziny pochodził wedle niego Krzysztof, mąż dobrze ojczyźnie zasłużony, który z Anną Konieńską Misopadowną, łowczanką sandomirską,. pozostawił Hieronima, Jędrzeja, Jana, Zofią, Elżbietę i Annę.

[25]) Testament Barbary.

[26]) Akta konsystorskie pozn. z r. 1654—1661.

[27]) Archiwum p. Stefana hr. Mycielskiego. Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej.

[28]) Historya kościoła luterskiego.

[29]) Bliższe szczegóły poniżej.

[30]) Historya kościoła luterskiego. — Niesiecki mylnie twierdzi, że żoną Łukasza Gorajskiego była Anna Żychlińska. Jako córki Łukasza wymienia Niesiecki Katarzynę, żonę Władysława Michała Skoraszewskiego, chorążego poznańskiego, drugą 1° v. Wacławową Twardowską, 2° v. Aleksandrową Rogalińską, trzecią Trąmpczyńską, czwartą Błeszyńską, kasztelanową międzyrzecką.

[31]) Archiwum p. St. hr. Mycielskiego. Akta, tyczące się kościoła wolsztyńskiego.

[32]) Historya kościoła luterskiego.

[33]) Wuttke w „Städtebuch des Landes Posen" pisze, że Niegolewski sprowadził nowych osadników niemieckich do Wolsztyna, atoli Historya kościoła luterskiego nie wspomina o tem. Zapewne Wuttke pomięszał Niegolewskiego z Franciszkiem Gajewskim.

[34]) Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej.

[35]) Historya kościoła luterskiego.

[36]) Wizyta z r. 1718.

Powodowo i W. Niałek 1719 r. Zygmuntowi Dziembowskiemu.

W r. 1720 tak wielka panowała drożyzna, że za wiertel żyta płacono 12 złp. (w dwa lata później 1 złp. 15 gr.[37])

[37]) Historya kościoła luterskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Joachim Lelewel.

(W 50-tą rocznicę śmierci.)

Joachim Lelewel, dziejopis, urodził się 22. marca 1786 r. w Warszawie i był po dłuższem w naukach przygotowaniu profesorem przy wszechnicach w Warszawie i Wilnie, gdzie przykładem swej pracowitości i porywającemi wykładami wpływał dodatnio na młodzież, a kiedy doszło do wiadomości Nowosilcowa, że w uniwersytecie wileńskim utworzyła młodzież towarzystwa tak zwanych „Promienistych“, „Filomatów“, „Filaretów“, — dwudziestu studentów skazano na wywiezienie z kraju i usunięto czterech najzdolniejszych profesorów, wśród nich Joachima Lelewela. Pracował z zapałem i w Wilnie i w Warszawie, dokąd się przeniósł po roku 1824, był posłem sejmu polskiego w Warszawie, ministrem oświecenia i członkiem rządu narodowego w wojnie o wolność i niepodległość roku 1831. Potem skazany przez sądy moskiewskie na śmierć przez powieszenie w obrazie powieszany, gdyż ująć się nie pozwolił, uszedł za granicę jako wychodźca, żył w Brukseli przez lat trzydzieści, gdzie zamknięty w ubogiej izbie spędzał długie dnie, miesiące i lata, pochylony nad księgami, z twarzą wynędzniałą, oczyma zapadniętemi, ale siejącemi dziwny blask; z Brukseli za naglącą poradą przyjaciół do Paryża wywieziony, umarł w środę 29. maja 1861 o godz. 7, w 75 roku życia swego.

50 lat zatem upływa od śmierci Lelewela, przychodzi chwila, w której warto wskazać na tę wielką cnotę pracy, którą Lelewela postać od pierwszego ukazania się na okręgu polskim zajaśniała i którą przyświecała całemu narodowi aż do ostatnich chwil życia. Jest to cnota — pracy, której nam tak bardzo potrzeba, od której nabycia nasza przyszłość, nasze życie zależy. Całe życie Lelewela nazywało się pracą. Od roku 10 życia, w którym się do autorstwa zabrał, żywot jego był żywotem pełnym olbrzymiej pilności i pracowitego poświęcenia wśród trudów, niepowodzeń, najprzeciwniejszych przygód i ubóstwa.

Czynu i pracy nie dostawało Obotrytom, kiedy się wyprzeć dali z pod Eidery i Łaby i Odry, czynu i pracy Wilcom, Pomorzanom, Łużyczanom, Wendom, Kaszubom słowiańskim, kiedy pozwolili różnoplemieńcom Germanom naprzód żniwa swe zjadać, po grodach plądrować, dziewki wydzierać, łany zajmować, plemię i mienie i imię niszczyć i tępić. Wyręczać daliśmy się w pracy, w mozole, w wytrwałości życia publicznego, oświaty, prawodawstwa, przemysłu, a gdzież to dzisiaj



Joachim Lelewel.

Chrobrego granice? Ledwie ich Lelewel w księgach zbutwiałych odszukał i rylcem badacza na karcie nakreślił. Od dziecinnych nieomal lat dzień za dniem gonił wytrwale, tak że nad wiek młodzieńca przerosłszy, pobudził podziw ziomków i obcych, a porwał serce młodzieży nauką i wytknięciem zaszczytnego celu. W każdem Lelewela dziele, w najskrytszych badaniach zawsze imię i sławę Polski, sprawę narodu miał na celu, wszędzie i zawsze Polska, jej chwała i dobro mu celem pracy i zadania — a kiedy się dopiero do badania swojskich rzeczy zabierze w ubóstwie i mozole, z jakiemże rozmiłowaniem każda pieczęć, każdy pieniądz, każdy zwój papieru, każdy charakter pisma, każdą starożytności skorupę, każdy kamyk obejmie, aby pracowicie spoić i duchem natchnąć to, co obojętne powaliło lenistwo. Nie dla bogactw pracował, bo w nędzy nieomal umarł, nie dla urzędów i godności, bo ich poza ojczyzną choć narzuconych unikał; nawet nie dla sławy, bo nic nie uczynił, aby ją podnieść — sama praca ojczyźnie poświęcona była mu celem, środkiem i nagrodą.

Niemały też był owoc tej pracy całego żywota. Badał dawniejsze kroniki polskie, ślęczał nad wiedzą geograficzną, zajął się zebraniem wiadomości o najrozmaitszych dziełach polskich, o bibliotekach i drukarniach. Sporządził spis i opis księgozbiorów u różnych narodów od czasów prastarych aż do najnowszych, wydał dzieło o pieniądzach w wiekach średnich i „geografię wieków średnich“ i szereg znakomitych prac w dwudziestu tomach pod zbiorowym tytułem „Polska, dzieje i rzeczy jej“.

Już z krótkiego tego przeglądu można wywnioskować, jak rozległy zakres zadań obejmował umysł tego uczonego. Porobił odkrycia pierwszorzędnego znaczenia, czem prześcignął uczonych, to też zrozumiemy ów podziw, jaki wzbudził nie tylko w Polsce, ale także we Francyi, Belgii i Anglii. Nie ograniczał się zaś w badaniach swych na źródłach rękopiśmiennych, ale przybrał do pomocy źródła nieznane — wykopaliska, monety, wykazując, że mówią one o czasach i ludziach, o których zresztą żadnych nie mamy wiadomości.

Kiedy w nowszych czasach w sprawach religijnych zaczęło się publiczne sumienie rozszczepiać naleciałościami obcych i wrażych nam wyobrażeń, tedy i Lelewel przenosił przekonanie własne nad głos powszechnego sumienia i był przeciwnym religii, a religijnemu powołaniu narodu polskiego zaprzeczał. Ale dusza, która do tego stopnia naród polski ukochała, tak żywo czuła wszystko z narodem, nie mogła do końca i dla wiary i dla religii narodu pozostać obojętną. Kiedy upornego w swem ubóstwie dobrowolnem starca przyjaciele z nędznego poddasza w Brukseli do lekarzy paryskich wywozili, Lelewel chociaż słaby, bo znużony trudami, wiekiem i ubóstwem, prosił w razie śmierci o jałmużnę kościelną, o trzy Msze za swą duszę w trzy piątki po sobie następujące, dokumentując przez to swą wiarę w tajemnice święte.

Niechaj w rocznicę śmierci Lelewela każdy z nas wspomni na zasługi jego dla Polski, a zabierając się do studyowania pism jego poznamy, iż Lelewel jest dla nas chlubą prawdziwą i jednym z największych uczonych w Europie.

L. P.

Biada temu! kto lekceważy niemile sobie proroctwa i czeka niewierny z założonemi rękoma, aż je przyszłość rozwiąże.

Seweryn Goszczyński.



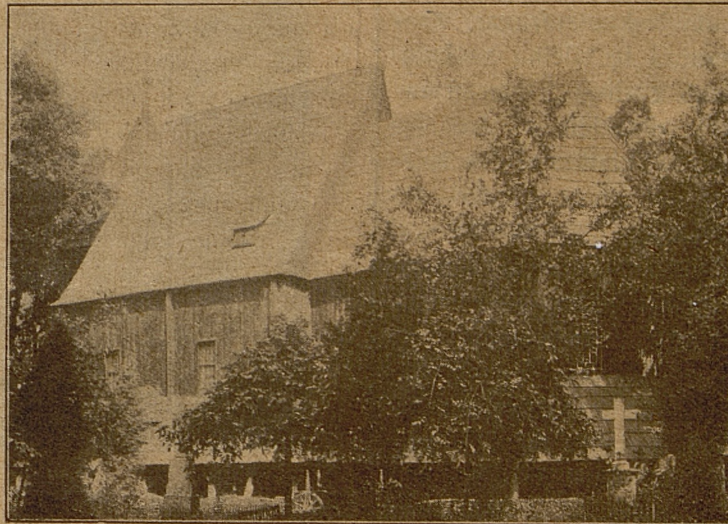
Nasze pamiątki.

Kościół św. Jadwigi w parku książęcym w Pszczynie na Górnym Śląsku.

Idąc kwadrans drogą od dworca kolejowego w Pszczynie do parku księcia pszczyńskiego ujrzymy tamże drewniany kościołek, otoczony wieńcem starych drzew. Jestto bardzo starożytny zabytek budownictwa polskiego. Jak wskazuje napis, wycięty na jednej z belek poprzecznych, kościołek ten został pierwotnie zbudowany w r. 1201; obok napisu podana jest data przebudowy: 11 maja 1655. Ponieważ ząb czasu świątynię przez tyle wieków bardzo uszkodził, dla tego musiano ją przed trzema laty odrestaurować: spróchniałe belki zastąpić nowemi, galeryę otaczającą kościół oszalować i dzwonnicę całkiem odnowić.

W małem kolorowem okienku w presbyteryum widzieć można obrazek św. Jadwigi, Patronki Śląska. W kościele tym rzadko się teraz odbywają nabożeństwa i służy on najwięcej do odprawiania nabożeństw żałobnych.

O kilka kroków od tegoż kościoła znajduje się grób wielce zasłużonego około oświaty na Górnym Śląsku biskupa-sufragana *Bernarda Bogedaina*. Zmarł on w podróży wizytacyjnej na probostwie w Pszczynie, dnia 17 września 1860 roku. Całodzienna uciążliwa podróż w kolasie pocztowej musiała ks. biskupowi, cierpiącemu od dawna na chorobę piersiową, wielce zaszkodzić, gdyż już w drodze do Pszczyny zaczął się skarżyć na dotkliwy ból w piersiach, a do pogorszenia choroby przyczynił się więcej jeszcze wypadek, jaki zaszedł milę przed Pszczyną. Otóż konie, zaprzągnięte do powozu ks. biskupa, nagle się strasznie czegoś przelękły, i to bez widocznej przyczyny i tak nagle i z takim pędem w bok skoczyły, że dyszel pękł na dwoje. Ciemno już było zupełnie, gdy ks. biskup Bogedain przesiadłszy się wraz z towarzyszem swym do drugiej kolasy, przybył do Pszczyny, gdzie wierni z całej okolicy zgotowali mu niezwykle uroczyste przyjęcie. W pobliżu baldachimu ustawiło się miejscowe bractwo strzeleckie, dalej dostrzedz było można zastęp dziewczynek w białych szatach, które niosły świece zapalone, a dalej czernił się nieprzejrzany tłum wiernego ludu. Po powitaniu przez miejscowego ks. dziekana, przemówił ks. biskup do zebranych głosem jeszcze dość silnym, chociaż poznać było można, że to sprawia mu boleść. Następnie ruszył cały pochód z miejsca i zawiódł biskupa do kościoła. I któż to wtedy byłby myślał, że ten uroczysty i tak wspaniały wjazd do Pszczyny, przez pięknie ustrojone łuki i bramy tryumfalne będzie dla ukochanego biskupa wjazdem ostatnim? Ubrawszy się w kościele w szaty biskupie, udzielił zebranym wiernym z wielkiem wysileniem i trudnością pasterskiego błogosławieństwa. Było to niestety ostatnie błogosławieństwo, jakie ksiądz Bogedain tu na ziemi miał udzielić!



Starożytny kościół św. Jadwigi w parku książęcym w Pszczynie na Górn. Śląsku

Wróciwszy na probostwo, udał się ks. Bogedain natychmiast do przygotowanego dla siebie pokoju, gdzie padł zmęczony na krzesło, skarżąc się na coraz większy ból w piersiach, brak oddechu i mdłości. Posłano zaraz po lekarza, a tymczasem zebrani duchowni starali się złemu zaradzić różnemi środkami domowemi, ale wszystko napróżno. Chory urywanemi słowami prosił o ostatnie namaszczenie i ogólne odpuszczenie grzechów. „Żyłem w wierze katolickiej i w wierze tej umieram. Jezu Chryste, Tobie polecam duszę moją, żałując za wszystkie grzechy moje! Kielich mój dajcie kościołowi w Wołczynie, a mój krzyż biskupi i pierścień Siostrom szkólnym w Opolu“. To były ostatnie słowa konającego biskupa. Wreszcie przybył lekarz, lecz wszelka pomoc była już bezskuteczną. Chory gasł w oczach. Obecni padli na kolana i zaczęli odmawiać litanię i modlitwy za konających. Gdy modlitwy te skończono, biskup Bogedain już nie żył. Skoro odezwał się dzwonek za konających i gdy po mieście i okolicy rozeszła się wieść smutna o śmierci biskupa, zbiegł się zewsząd lud wierny i na cmentarzu przez całą noc czuwał, śpiewając pieśni nabożne i modląc się za duszę ukochanego biskupa. Lud polski wiedział, że w nim stracił najlepszego ojca i opiekuna. Trzy dni potem pochowano zwłoki ks. biskupa Bogedaina przy udziale znacznej liczby duchowieństwa i niezliczonego tłumu przy starym kościołku św. Jadwigi, gdzie na grobie stoi skromny pomnik. Przedwczesny zgon księdza biskupa Bogedaina, był bardzo ciężkim ciosem dla całej dyecezyi wrocławskiej, a zwłaszcza dla polskiego ludu śląskiego. W spełnianiu swych obowiązków biskupich niezmordowany, starał się ks. biskup Bogedain z równą gorliwością o oświatę ludu, o dalszy rozwój polskości na Śląsku. Aby zachować czystość polskich pieśni kościelnych, wydał wraz z znanym nauczycielem Nachbarem obszerny śpiewnik kościelny dla organistów, który w nader smutnych



Pomnik ks. biskupa sufragana Bernarda Bogedaina w parku książęcym w Pszczynie na Górnym Śląsku.

czasach dzisiejszych niestety zbyt mało bywa używany. Chociaż Niemiec z pochodzenia, zjawił się ks. biskup Bogedain ludowi polskiemu z dopuszczenia Bożego, niby anioł opiekuńczy, gwiazda przewodnia, wołając do sumienia ludu głosem potężnym: *„Polskim jesteś, polskim na wieki pozostać powinieneś!“*

Ks. Bogedain, biskup-sufragan wrocławski ma jeszcze tę wielką zasługę, że skutkiem jego gorliwych starań zatrzymano w górnośląskich szkołach język polski jako wykładowy. Na każdym kroku mąż ten bronił narodowości polskiej. On się zajął losem śp. ks. Damrotha, największego poety śląsko-polskiego, który był znany pod pseudonimem Czesława Lubińskiego; on także zachęcił śp. Karola Miarkę do pielęgnowania języka polskiego. Zasługi ks. biskupa Bogedaina do tego stopnia zapomniane, że nawet nie jest znany jego wizerunek.

J. Gallus.



W rocznicę zgonu Orzeszkowej w Grodnie.

Zebraliśmy się niemal wszyscy ci, którzy rok temu, kiedy ze śmiercią Orzeszkowej zgasła pochodnia światła na Litwie, przyrzekli zawsze, w bolesnym dniu 18-ym maja, nietylko składać hołd wielkim cieniom zmarłej, ale krzepić u tej mogiły siły do wytrwałej pracy i umacniać ducha w... wierze

Z miejscowych stawił się w komplecie cały dawny komitet jubileuszowy, z pp.: dr. Bielawskim, dr. Talheimem, dr. Szumkowskim, adw. Gedrojciem i Janem Grzeżułką — na czele. Z Floryanowa, wsi litewskiej, w której Orzeszkowa tak chętnie spędzała w ostatnich latach dni na odpoczynek przeznaczone, przybył p. Tadeusz Bochwic. Z Warszawy: dr. Henryk Nusbaum z córkami, pp.: Stanisława Tołwińska, M. Ostromęcka, Zofia Gorzkowska i Józefowa Kotarbińska. Nieobecni, pp.: Eugenia Żmijewska, Józef Kotarbiński, Leopold Meyet i w. in. nadesłali listy i depesze na ręce pp. Obrębskich

Uroczyste nabożeństwo w kościele bernardyńskim odprawił miejscowy proboszcz w asystencyi kleru przed wielkim ołtarzem, którego stopnie, jak wieniec rozkwitłych jabłoni po sadach, okalały główki w białych chusteczkach, dzieci z ochrony imienia Elizy Orzeszkowej. Dymy kadzielnic unosiły pod strop świątyni ślicznie wykonane przez p. Stefańską pieśni żałobne.

Po nabożeństwie wszyscy obecni udali się na cmentarz, gdzie na stokach Niemna, tonąc w zieleni, pokryta kwieciem, czekała na gości... cicha mogiła.



† Eliza Orzeszkowa.

Dzieci, idące w długim szeregu, złożyły wieniec i na kolanach zgodnym rytmem stu głosów, jak jeden powtarzały: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie“... Wszyscy zgromadzeni na grobie ś. p. dr. Dąbrowskiego, przedwcześnie zmarłego zacnego obywatela, przyjaciela i lekarza Orzeszkowej, oddali hołd jego pamięci, a wieczór zgromadził nas w lokalu „Muzy“, Stowarzyszenia artystycznego, które zmarła stworzyła i otaczała serdeczną opieką.

Wobec szczelnie zapełnionej sali p. J. Kotarbińska odczytała sylwetkę literacką znakomitej autorki-obywatelki, skreśloną piórem Józefa Kotarbińskiego. Dr. Bielawski przypomniał wspaniałe fragmenty z ostatniej książki *„Gloria Victis“*, w której Orzeszkowa rzuca kwiaty na grobie ofiar sprawy zwyciężonej — ale nie przegranej“. Dr Szumkowski i p. Gedrojciowa, z głębokiem przejęciem wygłosili śliczne ustępy z pełnych tchnień filozoficznej zadumy jej „myśli wieczornych“. P. Jan Grzeżułko, krocząc śladem woli zmarłej, która zbiory swe przekazała Tow. Naukowemu w Wilnie, zainicyował składki na instytucyę i wszyscy dorzuciliśmy cegiełkę do pożytecznego dzieła.

A potem... potem już niemal do świtu zeszło na opowieściach o zmarłej, na wskrzeszaniu wspomnień, na wzajemnych serdecznych wynurzeniach, niemal spowiedziach serca, które obecnych łączyć muszą nierozerwalnym węzłem przyjaźni.

Z wielkiego portretu patrzyły na nas oczy „spalone pracą i łzami“. Choć się zamknęły — nie zgasły. Świecą, i choć smutne — sieją snopy blasków dokoła.

A my razem ze zmarłą pytamy: „Gdzie przemijają, na wieki usypiają, o Panie! czy *tam* powracasz dnie białe i złote, czy powracasz tam siłę i radość duchowi, który je tu spalił w ogniu pracy i łez?“

L. K.



Domek Elizy Orzeszkowej w Grodnie.



Międzynarodowa wystawa
dla podróży i ruchu osobowego.

Nikogo nie będzie dziwić, że w erze wielkiego postępu w każdej nieomal dziedzinie zdobył się Berlin na wystawę podróżniczą i to pod protektoratem księcia Meklenburskiego ze współudziałem różnych tajnych radzców i wogóle wysokich dostojników rządowych.

Miejsce dla wystawy wybrano jaknajlepsze, gdyż tuż przy Zoologicznym ogrodzie, dokąd dojazd łatwy czy to tramwajami, czy też automobilowemi omnibusami, czy też wreszcie koleją podziemną lub koleją parową zwykłą, okalającą cały Berlin. Kto od kilku lat nie był w Berlinie, ten napewno obierze kolej podziemną tunelową z samej ciekawości. Jazda koleją tą przykre robi wrażenie. Samo wejście do dworca pod ulicami miasta jest nieprzyjemne, a jazda w dusznych tunelach mianowicie w oddziałach dla palących niemiła, do tego dochodzi wreszcie lekki lęk, co będzie, jeżeli się zdarzy jakie nieszczęście pod ziemią.

Co prawda zarząd kolei liczy się z ewentualnemi przypadkami i jest w możności zaradzić czy to przy wybuchu ognia, czy też przy zderzeniu, które prawie jest wykluczone.

Argumentacya taka nie zaspokoi jednak zwykłego podróżnika, każdy nieomal życzy sobie śmierci w łóżku, lub ostatecznie na ziemi pod gołem niebem, zato śmierć pod ziemią lub w przestworzach powietrznych lub głębinach morza jest ludziom niesympatyczną, chociaż w zasadzie to tak obojętne.

Zwiedzającego wystawę zadziwi przedewszystkiem jej nazwa międzynarodowej, ponieważ za mało krai jest reprezentowanych, aby ją można za międzynarodową uważać. Oprócz Niemiec, Austryi, Finlandyi, Szwajcaryi, Danii i Norwegii, mało które inne państwo wzięło udział w wystawie. Niema wcale naprzykład Włoch, Francyi, Anglii, Egiptu i wielu innych krai zwiedzanych corocznie przez całe zastępy turystów.

Co do samej wystawy, to składa ona się z działów reprezentowanych przez kraje różne. Otóż na środku hali zauważamy wielki napis: Austro-Węgry. W dziale tym mają poszczególne kraje jak Czechy, Węgry, Dalmacya, Kraina i wreszcie Galicya swoje osobne hale, oddziały lub pawiloniki. W oddziałach tych widzimy dioramy znakomitszych miast, ubiory narodowe, fotografie różnych gór, plany gór i przewodniki do ich zwiedzania i wreszcie różne wyroby tubylców, a oprócz tego różne kinematografy z wykładem objaśniają to, co godne widzenia.

W dziale galicyjskim na przykład podpadł mi serdak, ubiór góralski, kij zakopiański, meble miniaturowe w stylu zakopiańskim i różne wycinane talerze zakopiańskie, w całej Polsce zresztą dość znane.

Na ścianie wisi kilka pasteli i akwafort, między niemi obraz olejny St. Kamockiego z roku 1905 przedstawiający kościół na wsi.

Poniżej wisi tablica z napisem: „Bogarodzica. Starożytna pieśń polska. Na chór mieszany z towarzyszeniem organów Stanisława Bursa. Ozdobił J. Bukowski Kraków 1910 r. Nakładem krakowskiego Związku okręgowego Towarzystwa Szkoły Ludowej. Czysty dochód na pracę oświatową na kresach.“ Tablica ta jest naturalnie zaopatrzona w nuty odpowiednie do pieśni.

Kraków natomiast jako miasto wcale nie jest reprezentowany w dziale galicyjskim i oczywiście obcokrajowiec, a przytem słaby geograf nie wiedziałby, że, zwiedzając Galicyę, trzeba także o Kraków zahaczyć. — Nie zamierzam krytykować wystawy galicyjskiej, muszę bowiem dodać, że wszelkie inne kraje są zarówno powierzchownie traktowane i to bez żadnej, powiedziałbym, systematyki i ułożenia. Wystawa robi wrażenie, że wystawiono w niej to, co przypadkowo różni nadesłali, bez starania się o wypełnienie braków i bez wystawienia wszystkiego tego, co podróżny turysta w pierwszym rzędzie zobaczyć powinien. Zatem mojem zdaniem wystawa jest zupełnie chybioną, choć jej poświęcają niemieckie przeciętne pisma dytyramby pochwalne. Chaos wystawionych rzeczy jest tak wielki, że zwiedzający nie zwiedzają wystawy, lecz błądzą w niej. W oczach piwnych prowincyała dostrzedz można tylko jakieś zdziwienie, cechujące się przytem na rozcież otwartemi ustami. Kto raz zobaczy, taki obrazek, ten niemoże przypuszczać, aby dany osobnik coś mógł skorzystać. To też po hali i po galeryach pędzą tłumy bez wyrazu na obliczu: obok tłustego Berlińczyka biegnie wiecznie uśmiechnięta kokotka z Friedrichstrasse, a za nimi niekulturalny prowincyał, przewracający krzesła i zahaczający się o różne sprzęty.

Oprócz obrazu krai znajdujemy na wystawie różne sprzęty komunikacyjne ery obecnej i z czasów dawnych, spotykamy wielkie karoce, któremi dawniej jeżdżono do Rzymu, Paryża lub różnych innych miejscowości, spotykamy nowoczesne koleje zębate prowadzące na wierzchołki strome gór i różne inne sprzęty komunikacyjne.

Z całości przekonamy się, że łatwiej dziś podróżować, niż dawniej, lecz może przytem mniej romantycznie.

Nikt nie zabiera dziś wystawionych rondli ani noży składanych, gdyż wszystko przyniesie kelner, o ile do pociągu dołączono wagon z kuchnią i jadalnią. Również łóżek składanych nikt nie zabiera, gdyż w sleepingu śpi człowiek zazwyczaj w podróży znakomicie. Przytem komfort, który otacza podróżnego, jest wielki; o tem przekonać się można, przyglądając się woskowym figurom, upozowanym przy grze w parlo na statku luksusowym Loyda.

Przybory najróżniejsze podróżne jak kufry Mädlera, przypominające szafę z osobnemi przedziałami dla kapelusza, fraka, bielizny i t. d. zachęcają jeszcze więcej do podróży. Wreszcie tualeta podróżna, zapoczątkowana od krótkich spódniczek, z różnemi modelami spodzienek aż do jupes culottes, świadczy, że i paniom dobrze podróżować. Jedna podróż odstrasza, a to podróż w kraje arktyczne. Ludzie odziani w skóry, ubrani w skórzane maski z okienkami dla ócz i w grube wojłokowe buty i rękawice z niedźwiedzi robią przykre wrażenie. Nikt im nie zazdrości, za to każdy podziwiać musi, że poddali się dobrowolnie takim niewygodom w celach naukowych.

Na wystawie można najróżniejsze rzeczy nabyć, począwszy od stalówek i bibuł płóciennych z 20 letnią gwarancyą, a skończywszy na tualetach podróżowych i pawilonach do letniego pobytu. Pawilony naturalnie są urządzone do składania i przewożenia. Wielkiem zainteresowaniem cieszy się „Dom brunświcki wakacyjny“ (Braunschweiger transportables Ferienhaus) cena 1500 mk., sprzedany na wystawie cztery razy. Dom ten jest cały z drzewa, zawiera pokój mieszkalny, 2 sypialnie, przegrodzone ścianą hiszpańską, kuchnię, komorę i werandę. Zbudowanie domu tego trwa dwie godziny z pomocą dwóch ludzi.

Przyznaję, że ładnie w nim można spędzać swobodne chwile w górach lub lasach, trzeba jednak zabrać towarzysza lub lepiej towarzyszkę, aby w pustelni godziny szybko schodziły.

Berlin, 17. V. 1911.

Tadeusz Sobeski.

Świat lubi się zabawiać potwarzami, ale potwarzami gardzi. Na chwilę wszystko się imie ludzi, głoszą co posłyszeli, choć niespełna w to wierzą; ale czas jest wielkim mistrzem sprawiedliwości, odkrywa powody, odsłania twarze zakryte, wyświeca pobudki czynów i płaci pogardą wcześniej czy później tym, co na nią zasłużyli.

J. I. Kraszewski.

25 lat.

W dniu 2-go czerwca obchodzi Sokół poznański srebrne gody.

18 maja 1886 wracając z pogrzebu dra Mateckiego zebrało się kilku obywateli w lokalu p. Knola przy Starym



† Ignacy Andrzejewski.

Rynku 58 i za inicyatywą ś. p. Ignacego Andrzejewskiego postanowiono utworzyć Towarzystwo gimnastyczne na wzór Sokołów czeskich i galicyjskich.



St. Chmielewski. J. Ganke. B. Samoliński.

Pierwsze zebranie naznaczono na 2-go czerwca i na tym to dniu zawiązano Sokoła; przyjęto ustawy i wybrano zarząd. Obecnych było 16 osób. Oto ich nazwiska: Roman Lisiecki, Stanisław Chmielewski, Władysław Seydlitz, Hilary Włodarkiewicz, Ludwik Wróbel, Mikołaj Sobkowski, Bolesław Samoliński, Józef Ganke, Aleksander Michalski, Apolinary Michalski, Romuald Nikulski, Wincenty Lange, Kazimierz Klemczyński, Leon Rudzki, Józef Lenartowski i Skrzeszewski (inicyator nie był obecny.) Kiedy dziś Sokół obchodzi srebrne gody już tylko szczupła liczba z powyżej wymienionych osób znajduje się pod jego sztandarem. O ile wiadomo 6-ciu nie żyje, inni mieszkają po za Poznaniem, tak że prócz p. Wincentego Langego, od kilkunastu lat złożonego chorobą, pozostał jedyny p. Bolesław Samoliński, którego podobiznę wraz z dwoma jeszcze założycielami żyjącymi w Poznaniu zamieszczamy.

O rozwoju Sokoła nie będę się rozpisywał, nadmienię jedynie, że na drugiem zebraniu przyjęto 53 członków a po pół roku istnienia liczył Sokół około 150 członków.

Gorliwy czytelnik „Pracy".

Człowiek, który nie zastanawia się, jest, jak liść, igraszką wypadków.

Bolesław Prus.

* * *

Nawet mała cząstka zasługi, oddanej społeczeństwu czynem i bezpośrednim działaniem, więcej znaczy, aniżeli cicha i w zakresie samej tylko teoryi poruszająca się praca.

Antoni Małecki.

* * *



Z bieżącej chwili.

Ks. proboszcz Gryglewicz

ze Ślesina, skazany przez izbę karną w Bydgoszczy na 3 miesiące fortecy za wygłoszenie patryotycznego kazania, rozpoczął w ostatnim czasie odsiadywać w Kłodzku (Glatz) na Śląsku kaźń więzienną.



Ks. proboszcz Gryglewicz.

Zacnemu kapłanowi życzymy, by kaźń tę przetrzymał w czerstwem zdrowiu.

* * *

Wielkie nieszczęście na polu wzlotowem w Paryżu.

Na polu wzlotowem w Issy les-Moulineaux pod Paryżem wydarzyło się w ubiegłą niedzielę rano straszne nieszczęście, którem cała Francya ciężko została dotknięta. Podczas startu do wielkiego lotu Paryż-Madryt, po odlocie kilku awiatorów, wzniósł się w powietrze lotnik Train z aeroplanem własnej konstrukcyi, aby przed podjęciem podróży wykonać próbny lot wokoło placu wzlotowego. Motor maszyny jego funkcyonował źle i Train zamierzał z małej wysokości spuścić się napowrót na ziemię. Naraz, chcąc wyminąć oddział kirysyerów, utrzymujących ład na placu, wykonał tak ostry zwrot, że aparat skręcił się i spadł wprost w grupę widzów, pomiędzy którymi stali w pierwszym rzędzie prezes ministrów Monis, minister wojny Berteaux i znany sportowiec Deutsch de la Meurthe.

Minister wojny uderzony został z wielką siłą śrubą aeroplanu i śmiertelnie raniony, Monis odniósł bardzo ciężkie rany. Berteaux zmarł zaraz podczas transportu z placu. Pokazało się, że otrzymał ciężkie uderzenie w skroń, oprócz tego zostało mu wyrwane ramię. Prezes ministrów Monis został powalony na ziemię i odniósł kilkakro-

tne złamanie nogi, rany cięte na czole i powiekach i strzaskanie kości nosowej. Oczy jego cudem ocalały. Tłumy widzów ogarnęło przerażenie; w dzikim popłochu zaczęło się wszystko rozpraszać. Wzloty przerwano natychmiast i ciężki smutek ogarnął całą stolicę.



Monis,
prezes ministrów w gabinecie francuskim.

Już o godz. pół 12 odbyła się narada ministrów, na której oprócz dyspozycyi co do uroczystości pogrzebowej ministra wojny postanowiono, żeby Cruppi na razie objął tekę ministra wojny. Cruppi bowiem zorganizował wspólnie z ministrem Berteaux plan kampanii w Maroku.

Odezwa

— **Od Stowarzyszenia Przymusowej Oszczędności „O własnych siłach" w Berlinie** otrzymaliśmy z prośbą o zamieszczenie następującą odezwę:

Rodacy! Przyszłość naszego narodu leży w przemyśle polskim. Własny przemysł zatrudniać powinien tysiące tych rzemieślników i robotników, którzy dziś są zmuszeni dla chleba tułać się po obczyźnie. Mając własny przemysł w ojczyźnie, łatwo by było zaludnić kraj swoimi i wyprzeć wrogo nam usposobionych obcoplemieńców. Tysiącom naszych robotników zatrudnionych po niemieckich fabrykach dotkliwie daje się odczuć knut obcoplemiennych pracodawców i intrygi wrogich im kolegów; dzieci ich się germanizują. Rodacy! czas nam pomyśleć o stworzeniu polskiego przemysłu.

Jednostka jednakże nic nie zdziała. Wszyscy rodacy złączeni w jedno tworzyć będą siłę której nic nie pokona. Dla tego stworzono w Berlinie Stowarzyszenie pod nazwą **„O własnych Siłach,"** którego głównym celem jest podniesienie przemysłu w kraju. Członkowie tego Stowarzyszenia zobowiązują się oszczędności swe w regularnych, niskich kwotach składać do kasy Stowarzyszenia, którego zarząd deponuje takowe w banku polskim na możliwie wysoki procent. Po upływie ustawami przepisanego czasu może składający członek oszczędności swe wraz z procentem wycofać, lub też przyłączyć się do tych, którzy wspólnie zaoszczędzony kapitał obrócą na stworzenie własnego przemysłu w kraju.

Hasła wzywające do oszczędności wiele dobrego zrobiły, lecz jednak za mało, bo gdy się tak rozejrzymy pomiędzy nami, to niejeden grosz zostaje na marne wyrzucony, miasto go zaoszczędzić. A właśnie teraz, gdy głosy wołające o przemysł coraz to silniej się odzywają, a my niby to nie mamy pieniędzy, powinniśmy się wziąć do tego, by oszczędzanie systematyczne przeprowadzić. Niejeden powie może: „ja z tych paru fenygów co zarobię, nie oszczędzić nie mogę," na to mu z doświadczenia powiedzieć możemy, że z wyjątkiem rzadkich wypadków, każdy, gdy tylko zechce, oszczędzić może, o czem najłatwiej się przekonać, gdy kto w złej chwili zrobi dług, to go później, choćby mało zarabiał, odda, bo musi. Tam więc, gdzie się musi, to się oszczędza. — Inny znów chciałby oszczędzać, lecz odkłada to z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, i tak czas schodzi i nic nie złoży. I tu braknie tego musu.

Stowarzyszenie Przymusowej Oszczędności „O własnych Siłach" ma tym brakom zapobiedz i przeprowadzić systematyczne; regularne oszczędzanie.

Rodacy! w naszych rękach leży dobrobyt jednostek i całego narodu! Zespólmy drobne siły nasze a staniemy się potęgą, której najszaleńsze burze złamać nie będą w stanie. Rodacy! chciejmy stworzyć taką potęgę, a stworzymy ją.

Kto pragnie bliższej informacyi lub zostać członkiem **Stowarzyszenia Przymusowej Oszczędności „O własnych Siłach"** niechaj się zwróci do jednego z niżej podpisanych członków zarządu.

Berlin, 12-go maja 1911 r.

Stowarzyszenie Przymusowej Oszczędności „O własnych Siłach."
Zarząd

H. Rogaliński, Berlin, Löwestr. 13. przewodniczący.
Jan Śmigielski, Berlin, Friedenstr. 90. skarbnik.
Stanisław Ratajczak, Berlin, Hufelandstr. 18. sekretarz.

KRONIKA.

— **Wyrzućmy z domów naszych polskich wszelkie szkodzące nam blaty niemieckie. Niech każdy dba o to, by w domu polskim znajdowało się tylko pismo polskie, bo tylko polskie pismo jest prawdziwym przyjacielem domu polskiego.**

— **Tylko stałą, wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić pismo, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy." „Praca" jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.**

— **Bardzo wielkie zainteresowanie** wzbudziła od pierwszego zaraz dnia wystawa Jacka Malczewskiego. W wystawionym obfitym zbiorze wielkich i mniejszych płócien odzwierciedlają się znakomicie charakterystyczne cechy potężnej indywidualności artysty.

Także reszta salonu przedstawia się bardzo ciekawie. Świeżo umieszczono jeszcze w dolnym pokoju akwarele S. Baranowskiej, przedstawiające różne nasze stroje ludowe. Zainteresują się niemi ci, co się zajmują ludoznawstwem.

Wystawa (przy ul. Bismarka 8) otwarta w dni powszednie od 10-tej do 6-tej, w niedziele i święta od pół do 12-tej do 4-tej. Wstęp 50 fen., dla młodzieży 25 fen.

— **Na wystawę wiosenną** „Stowarzyszenia Artystów" Bismarka 8. przybyły następujące nowe prace prof. Władysł. Skoczylasa ze Lwowa: „Morskie Oko." „Gewont jesienią." „Noc letnia w małem miasteczku w Galicyi." „Stary kościół w Zakopanem." „Wiejski kościółek." „Miedziane jesienią." „St. Sulpice" w Paryżu, „Wnętrze kościoła św. Genowefy w Paryżu." „Wnętrze kościoła St. Germain w Paryżu." „Głowa Starca," (akwaforta). „Głowa kobiety," (akwaforta). Wystawa otwarta codziennie od godz. 10—6-tej, w niedziele od 11—4-tej. Wstępne 25 fen., ucząca się młodzież 10 fen.

— **Pomocy dla polskich dzieci w Berlinie!** Niżej podpisany komitet prosi ziemian i gospodarzy wiejskich w kraju o pomoc dla dzieci polskich Berlina i okolicy.

Corocznie wysyłamy około 300 dzieci na czas wielkich wakacyj do stron rodzinnych z wielkim pożytkiem dla fizycznego i duchowego rozwoju tych dzieci.

Tutejsze dzieci polskie, urodzone na obczyźnie i skazane na wychowanie wśród obcego przeważnie otoczenia, chowające się nadto wśród niekorzystnych dla ich zdrowia stosunków mieszkalnych przeszło 2-milionowego miasta, przez 5-tygodniowy pobyt w kraju wśród swoich zyskują ogromnie wiele dla ciała i ducha i zadzierzgują nierozerwalne węzły z krajem, z którego pochodzą ich rodzice.

Dzieci wysyłane przez nas do najróżniejszych miasteczek i wsi Księstwa, Prus Zachodnich, a nawet Śląska, umieszczane są prawie wyłącznie w domach ich krewnych. Innego pomieszczenia dla nich dotąd nie mamy z wyjątkiem dwóch zacnych domów ziemiańskich (p. Wincentego Niemojowskiego w Śliwnikach i p. Wojciecha Lipskiego w Lewkowie), które od dłuższego już czasu udzielają gościnności kilkunastu dzieciom polskim z Berlina.

Niestety mamy tu dużo biednych dzieci polskich, których rodzice nie mają już bliższych krewnych w kraju, lub których rodziny zbyt są ubogie, żeby mogły udzielić gościny na czas 5 tygodni dzieciom ich berlińskiego krewniaka.

Te wszystkie dzieci zniewolone są czas wielkich wakacyj przepędzać z wielką szkodą dla zdrowia ich fizycznego i moralnego w dusznych murach i na ulicach Berlina, bo nie mamy gdzie ich wysłać.

Żal nam zawsze serdecznie owych licznych zgłaszających się corocznie dzieci, gdy im musimy udzielać odmowy.

W interesie tych najbiedniejszych z biednych naszych maluczkich udajemy się z usilną prośbą do naszych obywateli ziemskich i gospodarzy wiejskich w Księstwie i Prusach Zachodnich, żeby poszli w ślady zacnych przyjaciół dzieci berlińskich pp. Wincentego Niemojowskiego z Śliwnik i Wojciecha Lipskiego z Lewkowa i przyjęli choćby tylko po jednem dziecku do siebie na czas wielkich wakacyj, a spełnią dobry uczynek tak względem dziatwy polskiej na obczyźnie jak i dla sprawy.

Obok miejsca dla dzieci z Poznania mógłby się znaleźć przy dobrej woli także kącik dla dziecka polskiego z Berlina. Przecież i ono jest krwią z krwi naszej.

Zgłoszenia przyjmuje i informacyi udziela prezes Komitetu Kolonii Wakacyjnych w Berlinie p. Fr. Salezy Krysiak pod adr. „Dziennik Berliński,“ Berlin O. 27, Raupachstrasse 6.

Komitet Kolonij Wakacyjnych Tow. „Oświata“ w Berlinie.

Fr. Sal. Krysiak, przewodniczący. **Julian Sokołowski,** skarbnik.

Pogorzelski, sekretarz.

Babś, J. Bandurski, Michał Gulcz, Antoni Nowak, Kazimierz Ossowski, Karol Rose, Waleńczak, Michał Wróbel.

— **Dar narodowy w postaci zagrody dla poety ludowego.** Sławnem w Polsce stało się nazwisko **włościanina-poety Ferdynanda Kurasia.** Poezye jego, ukazujące się od lat dwudziestu w pismach ludowych, a między innemi także w „Pracy“ (wydane również w osobnych zbiorkach zatytułowane: „Z pod chłopskiej strzechy,“ „Wiązanka z chłopskiej niwy“ i „Tatarzy w Sandomierzu“), budzą wśród rzeszy ludowej ducha narodowego i wielkie szlachetne uczucia.

Wzniosłe te utwory wychodzą z pod pióra poety, który żyje w najtrudniejszych warunkach życiowych — utrzymuje się bowiem wraz z liczną rodziną z ciężkiego zarobku dziennego. W takich warunkach wyrósł na największego obecnie poetę ludowego.

Dziś obowiązkiem społeczeństwa polskiego stało się uczcić F. Kurasia odpowiednim darem za dotychczasową pracę pisarską i tem samem przez polepszenie jego warunków życiowych ułatwić mu ją na przyszłość, na korzyść młodego piśmiennictwa ludowego i na chwałę ludu-narodu.

Z inicyatywy szerokich kół włościaństwa powiatu tarnobrzeskiego zawiązał się — jak wiadomo — w Tarnobrzegu, pod protektoratem Stanisława hr. Tarnowskiego, prezesa Akademii Umiejętności, Komitet obywatelski, któremu poruczono zajęcie się zebraniem funduszów na dar narodowy w postaci zagrody włościańskiej dla bezdomnego poety.

Po dłuższych staraniach zakupił Komitet obecnie grunt pod przyszłą zagrodę i złożył na nim tarty materyał budowlany, uzyskany dzięki ofiarności jednostki. Pozostaje obecnie zakupić resztę materyału budowlanego i przeprowadzić budowę zagrody, co pociągnie za sobą wydatek około 4.000 K.

Komitet zwraca się z gorącą prośbą do całego społeczeństwa polskiego, aby drogą składek dobrowolnych, a powszechnych dopomogło do urzeczywistnienia myśli tej i postanowienia, które jak o tem z dotychczasowych objawów wnioskować należy spotkało się z ogólnem uznaniem i serdeczną życzliwością całego narodu.

Składki choćby najskromniejsze przyjmuje **skarbnik Komitetu, Ludwik Kuryłło w Dzikowie p. Tarnobrzeg.** W sekretaryacie Komitetu, nabywać można zbiorki poezyi F. Kurasia oraz pocztówki, wydane nakładem Komitetu. Listy składkowe wydaje, zamówienia oraz wszystkie pisma przyjmuje sekretarz Komitetu, Zygmunt Kolasiński w Tarnobrzegu (Galicya).

— **Paryskie Biuro Informacyjno-Prasowe** nosi się z zamiarem urządzenia stałej wystawy (w swym lokalu) kart pocztowych, przedstawiających widoki ze wszystkich Ziem Polskich, a nawet z Emigracyi, gdzie zamieszkują Polacy (pejzaże, pamiątki, osobliwości, typy i kostyumy ludowe i t. p.), której przeznaczeniem będzie ułatwienie cudzoziemcom poznania naszego kraju, a także o ile nadarzy się potrzeba, dostarczenie czasopismom i wydawnictwom zagranicznym materyału ikonograficznego. — Uprasza więc Biuro usilnie ludzi dobrej woli, aby łaskawie zechcieli przysyłać pod jego adresem (45. rue de Rennes, Paris — 6.) karty pocztowe przedstawiające osobliwości okolic, jakie zamieszkują. — Oczywiście projekt ten jedynie przy jaknajszerszym współudziale osób życzliwych będzie mógł być wprowadzony w życie. Nie potrzebujemy dodawać, że najmniejsze miasteczko może w tym względzie dostarczyć materyałów bodaj cenniejszych niż wielkie miasta, których pamiątki, w reprodukcyach o wiele łatwiej znaleść można.

Kaźmierz Woźnicki,
kierownik Biura.

Adres: Agence Polonaise de Presse 45, rue de Rennes, Paris 6.)

Wszystkie pisma polskie uprasza się o powtórzenie powyższej prośby.

Baczność! „Pracę“ zapisywać jeszcze można na poczcie na miesiąc czerwiec. Prenumerata wynosi 50 fen.

Nekrologia.

† Ś. p. **ks. prałat Dominik Majer,** jeden z najstarszych kapłanów polskich na ziemi amerykańskiej, b. uczestnik powstania 1863-go r. zakończył życie w mieście St. Paul (stan Minnesotta) w Ameryce. Przybywszy w 1873 r. do Ameryki, ks. Majer piastował urząd proboszcza najpierw w Berlinie (stan Wisconsin), następnie w Chicago, gdzie przebył 4 lata, potem w Pine Creek, również w stanie Wisconsinu i wreszcie, od 1883 r., w St. Paul, służąc wiernie Kościołowi i narodowi swemu, który kochał głęboko. — **Ś. p. ks. Karol Żyła,** proboszcz w Tucholi, dnia 17-go b. m. w 61-szym roku życia, a 34-tym kapłaństwa. — **Ś. p. Józef Tomaszewski,** gorliwy czytelnik „Pracy,“ dnia 15-go b. m. w Berlinie, w 41-ym roku życia. — **Ś. p. z Górskich Antonina Adamska,** dnia 16-go b. m. w Jacewie w 21-ym roku życia. — **Ś. p. Jan Langmesser,** dnia 17-go b. m. w Pelplinie, przeżywszy lat 78. — **Ś. p. Jakób Kwieciński,** gorliwy zakrystyan przy archikatedrze poznańskiej, zmarł dnia 15-go b. m. w Poznaniu w 75-tym roku życia po półwiekowej służbie. — **Ś. p. Ignacy Łuszczewski,** dnia 16-go b. m. w Witkowie, w 76-tym roku życia. — **Ś. p. Władysława Sypniewska,** dnia 16-go b. m. w Rusku. — **Ś. p. Józef Lipiński,** dnia 20-go b. m. w Śremie. — **Ś. p. Władysław Chmiel,** dnia 17-go b. m. w Gnieźnie. — **Ś. p. Antoni Rutkowski,** były właściciel Cembałowa, dnia 17-go b. m. w Skarlinie, w Prusach Zach., przeżywszy niespełna 76 lat. — **Ś. p. Siostra Barbara (Barbara Mazurowska),** dnia 21-go b. m. w Poznaniu, licząca lat 71. — **Ś. p. Andrzej Kitzmann,** dnia 20-go b. m. we Wronkach. — **Ś. p. Kazimierz Górski ze Stęszewa, dnia 20-go b. m. w Krakowie** w wieku lat 20. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Na listy anonimowe nie odpowiadamy.**

— **Panu Kazimierzowi S. na prowincyi.** Zbyt wiele wad i t. d. jest w wierszu nadesłanym, więc nie nadaje się do druku.

— **„Rodakowi“ na obczyźnie.** — Za wyrazy uznania dziękujemy serdecznie.

— **Pani Jadwidze R. w Poznaniu.** — Owszem, przyjmujemy, jeżeli dobrze ułożone.

— **Panu Janowi K. na obczyźnie.** — Rozwiązanie dobre, ale nie mogliśmy go uwzględnić, gdyż doszło nas zapóźno, po wyznaczonym terminie, do którego czytelnicy ściśle winni się stósować.

— **Panu Wojciechowi P. w D.** — Za wyrazy uznania dla „Pracy“ od dziesięcioletniego czytelnika zasyłamy z bratniem pozdrowieniem staropolskie: „Bóg zapłać,“ dziękując zarazem serdecznie za zjednywanie nam nowych abonentów.

— **Panu W. Z. 33.** — „Kuryer Warszawski“ Warszawa Krakowskie Przedmieście 40. Toż pismo poinformuje Szan. Pana także co do „Handlowca“.

— **Pani G. O. w Lisku (Galicya).** — 1) M. Ilnicka. 2) Za wyrazy uznania: „Nasza kochana „Praca“ jest cała bardzo i to bardzo zajmująca i powinna się znajdować w każdym polskim domu“ oraz za pozdrowienie wszystkich zacnych współpracowników składamy staropolskie „Bóg zapłać.“

— **Panu L. Z. w Świeciu. (Prusy Zachodnie).** — Zamieścilibyśmy bardzo chętnie, ale nie możemy, gdyż autor zastrzegł sobie prawo reprodukcyi.

Nowe książki i treść pism.

— **„Przeglądu Oświatowego,“** miesięcznika Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu, poświęconego sprawom oświatowym i kulturalnym wyszedł zeszyt 6-ty i zawiera następującą treść: Dr. Stefan Michalski: O potrzebie zebrania bibliotekarzy powiatowych. — A. L.: Podstawy pracy oświatowej. — Ks. A. Lisiecki: Kółka oświatowe w naszych stowarzyszeniach. — Wiadomości i sprawozdania. — Oceny książek i pism dla ludu i młodzieży. — Dział sprawozdawczy T. C. L. w Poznaniu. — Sprawozdanie kasowe.

Adres Redakcyi: Ks. A. Lisiecki Poznań, św. Marcin 69. Abonament wynosi 3 marki rocznie; przyjmują go wszystkie księgarnie, urzędy pocztowe w Niemczech oraz drukarnia „Pracy“ w Poznaniu.

— **„Świtu“** miesięcznika dla popierania ruchu wstrzemięźliwości, Organu Wyzwolenia, Związku Księży Abstynentów, oraz polskiej młodzieży abstynenckiej, wyszedł zeszyt na maj i zawiera następującą treść: Ochrona dzieci przed alkoholizmem. — Kwestya alkoholizmu w projekcie nowego kodeksu karnego dla Rzeszy niemieckiej. (Dokończenie). — Alkoholizm na Rusi Czerwonej w II. połowie XIX. wieku i dzisiaj. — Dlaczego? — Wiadomości ze świata. — Rozmaitości. — Wiadomości z Towarzystw. — Z piśmiennictwa.

Nadesłane.



GABRYEL PRUSZYŃSKI.

Na niedźwiedzia.

Było to przed laty 50-ciu, gdy Polesie wołyńskie obfitowało jeszcze w grubą zwierzynę, gdy dzik, wilk, łoś a nawet niedźwiedź zgoła do rzadkości nie należały.

Na olbrzymich przestrzeniach rozciągała się wówczas puszcza rzetelna, pełna ostępów tajemniczych, gdzie zwierz nie dochodził, ptaszyna milkła i jeno Bóg w ciszy nieobjętej królował.

Takie to ostępy niedźwiedzie za siedlisko swoje obierać zwykły i dopiero jesienią, zwabione zapachem wonnego miodu, zbliżały się ku krańcom puszczy, w barcie i ule na sosnach bogato zaopatrzonym.

Zarządzałem podówczas majątkiem mego ojca, obszarem stu tysięcy morgów, prawie w zupełności lasem poszytych i jedyną moją rozrywką na odludziu, niemal pierwotnem, były polowania różnorodne, którym cały mój czas, wolny od zajęć, z namiętnością poświęcałem. A nie był to sport łowiecki w dzisiejszem pojęciu tego słowa, lecz łowiectwo w starym stylu i w pełnem owego stylu bogactwie i uroku. Całe noce spędzało się w lesie przy ognisku w tajemniczej grozie pierwotnego boru, w poszumie odgłosów, biegnących z niezbadanych głębin puszczy, wśród wycia wilków, w otoczeniu niebotycznych sosen, fantastycznie rozświetlanych blaskiem płonących bierwion, i garści Poleszuków, prostych, cywilizacyą nietkniętych, w opowiadaniu starych podań i baśni niewyczerpanych. A we dnie tropiliśmy zwierza, prowadziliśmy istną walkę z puszczą, która nam przeszkód i trudów nie szczędziła.

Był to, jak dziś pamiętam, pogodny i ciepły wieczór wrześniowy. Siedziałem pod daszkiem wrót folwarcznych, na tak zwanym „perełazie“, lustrując powracającą z pastwiska stadninę, gdy nagle spostrzegłem, że zdąża ku mnie szybkim krokiem starszy leśnik Dmytro i już zdaleka po sakramentalnem „Sława Bohu!...“ woła:

— *U nas, panyczu, medwid' w Orłach. Zdajetsia try stary i dwa piastuny.*

O włos, żem nie podskoczył.

— *Aznajete dostowirno szczo tak?...* — pytam prawie wzruszony.

— *Jakżeby ja cioho maw ne znaty... Dwinadciat' uliw wykunuły na Prychodskom brodi, powybyraly het psiawiry wsi pszczeły, wykaczałysia potom w pisku i wernuły w Orły. Chodyw ja ślidami i znaju dostowirno hde leżat teperyczki. Ne można hajatysia. Treba na zawtra zebraty obławu, a to Bih ich znaje, czy ne kinutsia w Meżyrićkij lis.*

Dmytro miał racyę. Każda niemal godzina miała swoją wartość, więc zrezygnowawszy z przyjemności zaproszenia nielicznych co prawda sąsiadów, z których najbliższy mieszkał o wiorst osiemdziesiąt, zdecydowałem na miejscu zebrać dostateczną ilość strzelb i urządzić odpowiednią obławę dla należytego okrążenia olbrzymiego ostępu.

Pchnąłem też natychmiast konnych gońców do rewirowych, by tej jeszcze nocy stawili się ze swymi leśnikami, we wsi zaś kazałem objawić, żeby kto żyw do dnia był gotów, obiecując suty poczęstunek na wypadek szczęśliwego nieoczekiwanych łowów wyniku.

Dwór cały na nogi się porwał.

Zbieranie gdzie tylko można było dostatecznej ilości prochu, lanie kul, czyszczenie broni...

Wrzało, niby w obozie przed bitwą.

Jedni doglądali strzelb, drudzy czyścili, inni znowu poprawiali zamki w rusznicach, a jeszcze inni pod wodzą As-

Pasterka.

sauły krzątali się koło wozów, aby ich dostateczną ilość na zamierzoną wyprawę przysposobić. Na wsi znowu rządca zbierał co najlepszych strzelców, opatrywał ich w broń i rozdawał amunicyę, drudzy moi wysłańcy rekwirowali brakującą ilość podwód, nakazując włościanom, aby *czut' świt* we dworze stanęli, a rozkazy i rozporządzenia znajdowały materyał chętny, bo włościanie rozwścieczeni szkodami w ulach obiecywali całą, jak jest, gromadą na obławę wyruszyć.

— *Szczoby tilko panycz choć jidnoho z cich złodiiw ubyły!*

Natomiast w kuchniach czeladnych i w dworskiej całe beczki kapusty i ćwiartki mięsa niesiono w ofierze na bigosy, z gorzelni kazałem beczkę wódki wytoczyć, a gospodyni załamywała ręce na omastę do chleba, w który każdy z uczestników musiał się w domu własnym zaopatrzyć.

Ale zły humor poczciwej Lichtenskiej, która miłowała mnie srodze, jako dawna piastunka, do całego domu niezmiernie przywiązana — nic w danym wypadku nie znaczył. Starowina zrzędziła, a myśmy swoje czynili i robota szła rzeźko i pilnie.

Noc całą nie spaliśmy, różnorodnemi przygotowaniami zajęci i brzask jutrzenki całą ludność wsi i dworu w pełnej gotowości powitał.

Straż leśna w pełnym komplecie stawiła się do apelu; to pojedyńczo, to większemi partyami poczęli się ściągać obławnicy, wkrótce też dziedziniec zaroił się od ludu, uzbrojonego w pałki, w sękate dębczaki, oszczepy i siekiery, a tu i ówdzie spódnice, co odważniejszych chłopek, spostrzegać się dawały.

Niebardzo byłem rad z tego, wychodząc z zasady, że nic po babie na łowach, zwłaszcza, gdy o grubego zwierza stawka idzie, ale chłopi uspokoili mnie mówiąc, że między nami będą, więc krzywda im się nie stanie, a jako z przyrodzenia hałaśliwe krzykiem i— *medwidia perelukajut'*.

Uśmiałem się tedy i dalszych przeszkód nie stawiałem.

Byliśmy gotowi...

Po lekkim poczęstunku całe to mrowie piesze i konne w drogę ruszyło, a poza nami, niby wąż przydługi, ciągnął się wązki tabor myśliwski po lesie. Strzelb pewnych miałem trzydzieści, pozostałe słabsze rozdałem między obławę, aby w chwili odpowiedniej wiwatowemi wystrzałami zwierza do ruszenia zmusiły.

Ciągnęliśmy tak około trzech godzin, a może i więcej, gdyż ostęp w głębokiem odludziu puszczy leżał, to też słońce dobrze w górę podeszło, gdyśmy po żmudnym przemarszu na miejscu wreszcie stanęli.

Od tej chwili zaczęła się obława. Od tej chwili obowiązywało milczenie i opatrzona o skutki i następstwa dbała ostrożność.

Po naradzie naganka, prowadzona przez miejscowych leśników posunęła gęsiego w głąb lasu, zataczając krąg ogromny, by cały ostęp osaczyć, strzelcy natomiast ruszyli w stronę przeciwną, by zająć stanowiska, które były z powodu małej ilości strzelb dość jedno od drugiego odległe, tak, że każdy z nas miał wcale obszerny rejon do strzału.

Półtorej godziny brnęliśmy tak gęstem leśnem bezdrożem przez błota i moczary, z dużym wysiłkiem i sprawnością zręcznych, a przynajmniej wytrwałych ekwilibrystów, aż wreszcie dostaliśmy się do ostępu, który zamarł zda się w ciszy królewskiej, jeno szmerem wierzchołków przeogromnych olbrzymów leśnych naruszanej. Mieliśmy teraz przed sobą szereg zrzadka rozrzuconych sosen wyniosłych, po prawej stronie bór ciemny i zwarty, a po lewej młody las brzozowy...

Stanąłem pod sosną, mając z prawej strony o jakie stopięćdziesiąt kroków mego rządcę, a po lewej szlachcica, imć Macieja Skurzyńskiego, zapalonego myśliwego-leśnika, do którego ten rewir należał.

Odpocząwszy nieco po nużącym przemarszu, począłem oglądać się dokoła, aby poznać miejsce, na którem może wypadnie stoczyć walkę zażartą z królem naszej puszczy. Przed sobą miałem widok i dość obszerny, i dość widny, ale gęsto podszyty lasek krzaczasty był dla mnie arcy-niewygodny, bo mknął bez przerwy na lewo i strzał w takim gąszczu niezmiernie utrudniał.

Lecz rady na to nie było.

Ulokowałem się obok sosny w ten sposób, by najmniej być widocznym, a samemu i swobodę wzroku, i swobodę strzału mieć możliwie najlepiej zapewnioną... I zamarłem...

Podniecała mnie głucha, niewypowiedziana cisza. Zdawało mi się, że słyszę uderzenia pulsu w skroniach... Zdawało mi się, że z głębin puszczy nadbiegają jakieś tajemnicze szmery... wołania... odgłosy dziwne, a nawet krzyki dalekie, chociaż śmiertelnego milczenia nic dokoła nie naruszało. Wreszcie usiadłem, by naprężone nerwy zmódz i pohamować, lecz wzrok i słuch trwał w ciągłem naprężeniu, aby przemykającego się zwierza nie prześlepić.

Mija godzina... potem druga...

Może niedźwiedzie przedarły się w inną stronę, może naganka źle ostęp osaczyła, może... Tysiące przypuszczeń po głowie się plącze, a chwilami: — patrzysz... słuchasz... dech w piersi zaparty, a w uchu jakieś szmery...

I nic... I znowu nic... Cisza głucha, śmiertelna cisza puszczy!

Chwycił mnie gniew i rozczarowanie ogromne. Postawiłem strzelbę do nogi i aby dać odpocząć wzrokowi, spuściłem go ku ziemi. Jak zaś długo to trwało, nie pamiętam, bo żaden szelest, żaden najdrobniejszy szmer nie psuł doskonałej, niewypowiedzianej ciszy leśnej.

(Dokończenie nastąpi.)



Pieśń fal.

Szepcą fali jeziornej cichnące pół-głosy,
Pieśń smętną, wiecznie piękną, nucą o zachodzie;
Słońce promień, jak harfę, rozsłało na wodzie;
Fala w struny uderza i śle hymn w niebiosy...

Zaciemnia się nieboskłon... Olbrzym złotowłosy
Barwi inne krainy w zwycięskim pochodzie...
A harfa idzie za nim i niknie na wodzie;
Fale biją pokłony, niby polne kłosy...

Spłynęły harfy struny na wodzie rozpięte,
Pozłocisty brzeg nieba barw akordem ścicha...
Spłynęły harfy struny, złote, wniebowzięte...

W cieniu grąży się fala... trzciny dumne kłosy
Posnęły... stoją martwe... wszystko snem oddycha...
A fali wiecznie szepcą cichnące półgłosy...

o—es.

Kto garstkę ziemi nosi — góry się doczeka;
Z kropli za kroplą z czasem uzbiera się rzeka.

Kazimierz Brodziński.

* * *

Jeśli są rzeczy, które odemnie zależeć powinny, to grzechem jest pytać się o nie innych i żądać ich od innych.

Stanisław Wyspiański.



Kos — zwiastun wiosny.

Wpadł do mnie przez otwarte okno cały snop promieni słońca: zagrał tęczą i szepnął pajęczym wiewem:

„Idzie, już idzie, słuchaj duszo tęskniąca!“

Idzie — a echo wielkiej radości, rozziskrzyło ponure wnętrze mojej duszy.

Oto idzie w królewskim przepychu tajemnych przestworów; idzie stopami kwietnemi, drogą wschodów purpurowych.

Idzie ku nam ta, która ma czar i potęgę nadziemską, bo idzie w białych falach zmartwychwstania i płynie łuną ciepła poprzez te srebrzyste pąki spragnionych drzew.

— Idzie — a dłonią płomienną rozpala opalowy kielich nieba i wieje w lasy i w łąki przewonne sny.

Idzie w wielkiej, sennej ciszy błękitów, idzie rozmarzona, a przeźroczne, miękkie pląsy słońca grają jej uwielbienia pieśń.

Idzie — a święty szmer zachwytu stęsknionej ziemi czepia się jej liliowych szat.

Idzie mocarna, pełna cudu i okrzyku rozkosznej radości, z uśmiechem aksamitnym budząc twory na odrodzenia gody.

Patrzę w mój sad, gdzie to rzeźkie powietrze śpiewa taki hymn adoracyi wieczystej; kędy słońce, stupromienny pająk tka na pączkach złociste arabeski brabanckich koronek.

Wtem z krzaków dolatuje do uszu moich znamienny gwizd i czarny ptak o żółtym dzióbku wylatuje na czeremchę.

To kos, pierwszy kochanek wiosny, który przeczuwa w swem maluchnem serduszku, że przychodzi królewska władczyni, co rozfaluje wielką ulewę słońca, da zmęczonym długą zimą ptakom dni żarne, radosne, weselne.

Śpiew z początku nikły, przechodzi w jakieś fletowe tony, rozpraszając w promieniach słońca witalny hymn na cześć królewskiej wiosny.

— — — — — — — — —

Kos, to jeden z tych ptaków, które pierwsze uczuwają powiew ciepły i cieszą się nowem, bujnem życiem wiosny.

W tem jego gwizdaniu leży czar, coś nadzieją tchnącego płynie, coś, co każe wierzyć, że będą lepsze dni, coś co zniewala radować się i czcić boże twory.

Kos, to ptak kulturalny. Dawniej żył dziko w lasach; był ptakiem wiosek i pól, —dzisiaj spotykamy go na przedmieściach i w starych parkach i sadach.

On to, będąc nieraz blizko mieszkań ludzkich, swym prześlicznym śpiewem rozbudza zapomniane dawno echa w duszy; w takim przedwiosennym czasie czyż nie jest czarownym zwiastunem?

Na starych cmentarzach, gdzie panuje spokój bezprzestrzenny on wywołuje nastrój przedziwny swą pieśnią. a płynące opodal fale rzeczułki zgodnie zda się biorą one melodyjne tony i niosą w dal.

Widziano raz kosa, który na najwyższym punkcie sieci telefonicznej siedział i śpiewał w zachodu pozłocie pieśń żegnalną słońcu, co wpadało w głąb liliowych mórz.

Inny znowu, podczas burzy nadchodzącej, wyleciał na szczyt lipy, śpiewał, jakby pragnął cudnym tonem maluchnego gardziołka, uwięzić grzmoty i deszcz.

Kosy wobec ludzi przyjacielsko są usposobione. Młode ptaszę oswaja się bardzo prędko i jest „grzeczne.“ Uczy się prędko też nowych melodyj, słysząc je zaledwie kilka razy.

Kos ma zwykle czarne upierzenie, jednak czasem spotkać można wybryk natury i u niego. W Niemczech, w roku ubiegłym koło Lubeki, w starym parku żył samiec z białym ogonem, a prawe skrzydełko miał bardzo jasne. W innej miejscowości znów spotkano kosa z białą główką. I u nas by z pewnością znalazły się podobne okazy, gdyby ich chciano poszukać.

Kos nie jest ptakiem towarzyskim wobec swych pobratymców. Często w braku pożywienia porywa malutkie z obcych gniazd. Na jagody jest bardzo łasy, to też właściciele ogrodów niechętnie nań patrzą, jednak ze względu na jego śpiew nie powinno się go tępić.



Spowiednik.

— — — — — — — — —

I płynie taka serdeczna pieśń kosa małego, który raduje się wiosną, może prosi o co w swych czarownych tonach, i może w tym przedwieczornym powiewie zatrzyma się dobrotliwa dłoń wiosny na czarnym ptaku — i błogosławić będzie życiu jego.

Jak dzwonek płynie pieśń, w której drgają lekkim szmerem pragnienia ożywczego słońca.

Płynie przedwieczorna, królewska pieśń i niesie do duszy girlandę słonecznych słów — niesie moc i wiarę w Boga Przedwiecznego, łaskę i dobroć przenajświętszą.

Olga Bilińska.



Przywyknienia koronowanych osób.

Z ruchów człowieka składa się cała zewnętrzna linia jego istoty a charakterystyka jego osoby uwydatnia się w tych drobnych szczegółach, które mimowoli i często się powtarzają.

I królowie nie są wolni od takich nawyknień, i każdy prawie panujący w Europie ma jakiś ruch mimowolny, zdradzający chwilowe jego usposobienie.

Zmarły król angielski, Edward, przesuwał zawsze palce po brodzie, gdy myślał o czemś poważnem. Cesarz niemiecki podkręca bardzo energicznie wąsy, podczas kiedy król włoski Emanuel pociera lekko nos.

Cesarz austryacki targa lekko swoje bokobrody, car rosyjski przesuwa rękę po głowie, a zmarły król belgijski Leopold skręcał bujną brodę w cienki jeden koniec — rozpuszczał ją i skręcał na nowo.

Król szwedzki Oskar, kładł palec na nosie, król norwegski zaś oddycha bardzo głośno przez nos, gdy jest czemś zirytowany. Gdy król Alfons myśli o czemś ważnem, kreśli palcem ukośne linie na czole, sułtan chwyta się za kark, król grecki zaś kołysze się na prawej nodze.

Królowe mają również swoje nawyknienia i mimowolne ruchy. Królowa angielska Aleksandra jest wprawdzie uosobistnieniem spokojnej dystynkcyi, zawsze pełna powagi i godności — nigdy nie porusza się żywo lub gwałtownie — twarz jej jest nieruchoma, ale gdy jest rozdrażnioną, lub gdy myśli o czemś poważnem, wtedy porusza nerwowo palcami i kurczy je.

Carowa Aleksandra przygryza w chwili rozdrażnienia dolną wargę, a twarz jej nabiera wtedy wyraz jakiegoś obłędu. Królowa włoska Helena porusza mocno ramionami i przechyla głowę na lewą stronę, królowa szwedzka natomiast zamyka oczy i pociera mocno nos.

Najzabawniejsze nawyknienie ma Wilhelmina, królowa holenderska. Skupiając myśli, wyciąga koniuszczek języka, ściąga brwi i marszczy czoło.

Tyle o głowach koronowanych.

A o nas zwykłych śmiertelnikach?

Empa.



Wonnym puchem obsypał maj drzewa...

Wonnym puchem obsypał maj drzewa,
Trawy w rosach srebrzyście migocą,
Księżycową, tajemniczą nocą
Chór słowików miłosny rozbrzmiewa...

Ziemia w dreszczach rozkoszy omdlewa,
Upojona miłości wszechmocą,
W łąk szmaragdach kaczeńce się złocą,
Blasków słońca je zrasza ulewa...

Tylko w sercu zbolałem wciąż jesień,
Mgły i mroki panują wieczyście,
Szrony zwątpień kwiat mrożą uniesień.
Lecą z szumem zwiędłe marzeń liście—
Po dawnemu proch ziemi je kryje,
Po dawnemu nad niemi wichr wyje...

Wiktor Dzierżanowski.



Dział kobiecy.

Kobieta lekarką.*)

Oj! są ci baby po wsiach, co umieją leczyć, wszelakie choroby. Odczynią uroki, okadzą zielem, wysmarują borsuczem sadłem, zażegnają różę. pypeć, zedrą z ócz chorobę bydlęcia itp, Ale nie o tych chcę tu mówić, bo na to pracujemy, by usunąć taką ciemnotę, która już niejednemu przyniosła wielką szkodę. Będę mówił o kobiecie, która będąc już oświeconą, musi być lekarką chorego społeczeństwa.

Na choroby ciała są lekarze i lekarstwa w aptece, na choroby moralne stokroć gorsze od chorób cielesnych musi radzić oświecona, zacna kobieta Polka — chrześcijanka. Gdy się zawiąże Kółko gospodyń wiejskich, powinno ono zabrać się do roboty. Niech się naprzód kółkowczynie zastanowią, od czego zacząć pracę? Dobry gospodarz stara się wszelkiemi siłami rolę oczyścić z chwastów, a potem dopiero na niej sieje lub sadzi; gdyby tego nie zrobił, chwasty zagłuszyłyby zboże i cała robota poszłaby na marne. Kółkowczy, nie, chcąc zaprowadzić ład we wsi, oświatę, podnieść wioskę pod względem moralności i dobrobytu, muszą naprzód oczyścić wioskę a więc i siebie ze złych zwyczajów. — Huczne, kilkodniowe wesela kasować, bo to nic dobrego. Strata pieniędzy, czasu, zdrowia a często i duszy. Chrzciny, pogrzeby, obrzędy chrześcijanskie, nie powinny być bezwarunkowo oblewane. Niech kółkowczynie starają się wszelkiemi siłami o to, by ustały kłótnie, skargi i procesa, a gdy to uczynią, zrobiły już bardzo wiele dobrego, przysporzyły majątku wiosce i chwały Boga. Jest to najlepsze odbudowywanie ojczyzny.

„Oszczędność jest matką dobrobytu“. W tych wioskach, gdzie oświata bardziej się rozszerzyła, dobrobyt podniósł się bardzo, — wszyscy sobie chwalą, że teraz we wsi lepiej i przyjemniej, z biedy się śmieją, a jeżeli czasem o niej jeszcze mówią, to tak z przyzwyczajenia. Nikomu się może nie przelewa, ale dzięki Bogu, chleb jest zawsze. Kółkowczynie i wogóle każda oświecona kobieta i dziewczyna, musi dążyć do tego, by to, co tylko grosz niepotrzebnie wyciąga, usuwać. Jest korona, dać ją zaraz na książeczkę do kasy, niech się tam chowa i procentuje, co się oszczędzi, zaraz składać do kasy.

Wiele też pieniędzy marnuje się na stroje i głupie błyskotki. Jest dziewczę na odpuście czy jarmarku, — zobaczy kramy z świecidełkami i szklanemi paciorkami, kupuje, obwiesza się tem i myśli, że jej z tem ładnie i że się stała bogatszą! — Dziewczyno! ciebie niech stroi młodość, czystość, uczciwość, pracowitość i ten uśmiech spokojny, który oznacza zdrowie i zadowolenie, a grosze, wyrzucone na szwabskie wyroby schowaj, bo „ziarnko do ziarnka a będzie miarka“ i kiedyś ten grosik, uciułany twoją oszczędnością, bardzo ci się przyda. Wy, kochane matki, oszczędzajcie same i uczcie oszczędności dzieci wasze. Człowiek oszczędny, nie skąpy, da sobie radę w życiu i nie będzie nigdy na biedę narzekał.

Kobieta, dziewczyna, mogą cudów dokazać, nie polityką, bo ta chleba nie daje, ale dobrem zorganizowanem towarzystwem. Jeżeli matki i córki usun-

*) Artykuł powyższy, zaczerpnięty z „Przewodnika Kółek Rolniczych“ dla Galicyi, jest bardzo pouczający także dla naszych kobiet. — Przyp. Redakcyi.

hulanki, procesa, loterye, piajństwo, toć i mężczyźni będą lepsi. — Zacna, uczciwa, oszczędna dziewczyna nie pójdzie zamąż za pijaka, hulakę, co to we dnie niby coś pracuje a spogląda, kiedy słoneczko zajdzie, by iść do karczmy, napić się a potem kwiczeć po wsi i budzić psy i koty. Taki zuch będzie wiedział, że musi sobie żony szukać tam, gdzie jeszcze ciemno w chacie i ciemno w głowie. Takiego zucha potrafią dziewczęta oświecić, że jeżeli chce mieć dobrą żonę, gospodynię i matkę, musi sam być porządnym człowiekiem, bo żona nie będzie pracować na to, by miał co puszczać w obrzydliwej karczmie.

Kółkowczynie muszą się wziąć za ręce i starać, by nie było we wsi chaty bez sadu, ogródka warzywnego i choćby paru kwiatków. Wszystko to łatwo zrobić, tylko trzeba chcieć. — Sad daje wielki dochód, własny pożytek, chroni od wichrów i ognia, daje suche gałęzie na opał, umila życie i dowodzi, że w wiosce są ludzie oświeceni.

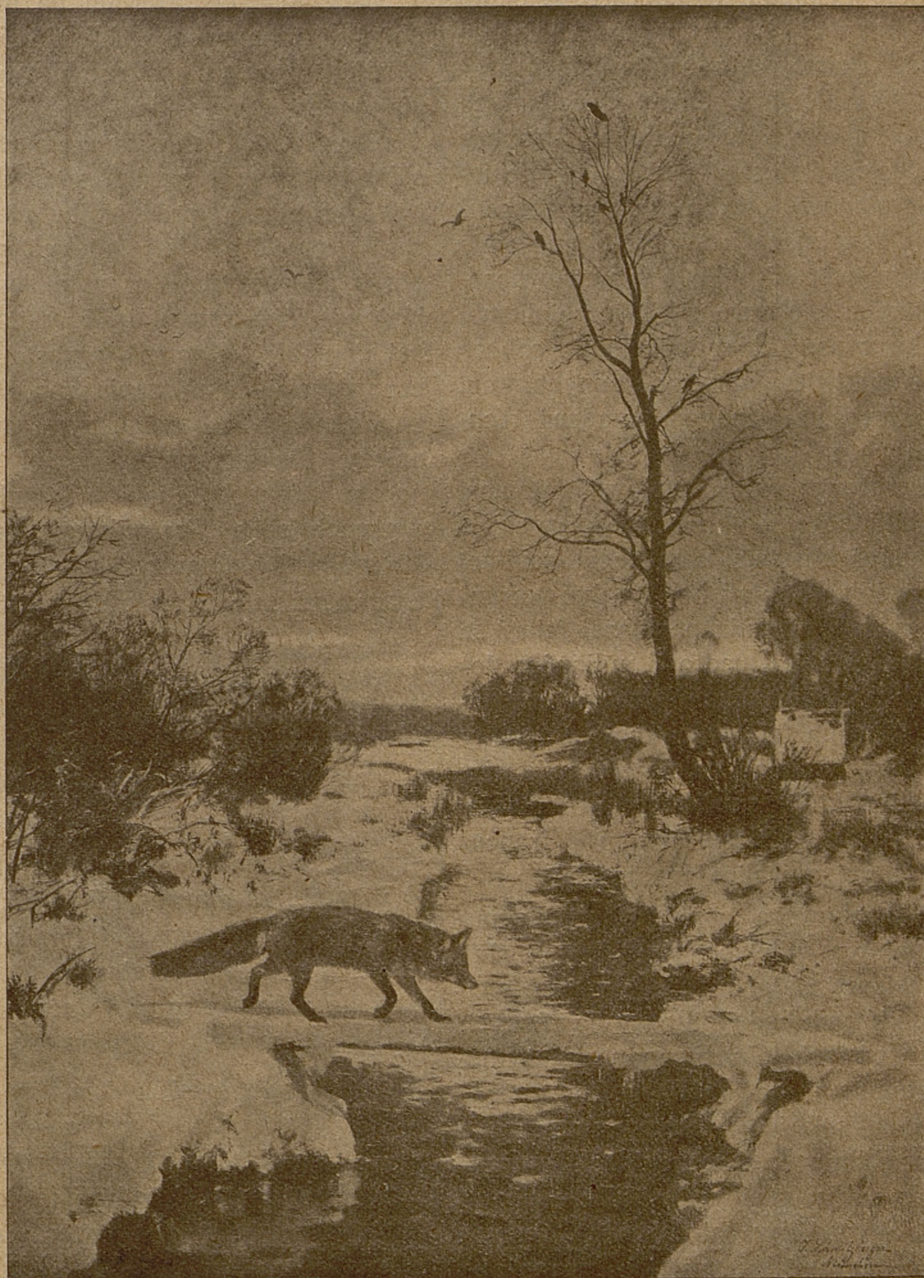
Musicie też, kochane matki, pouczać dzieci, by szanowały swoją, a tem bardziej cudzą własność, bo pod tym względem, to u nas jeszcze bardzo smutne czasy!

— Aż mnie wstyd pali, gdy o tem myślę, jak to się niszczy szczepy, owoce najczęściej po nocach!

Gdy kółkowczynie oczyszczą wieś ze złego, przystąpią do organizacyi handlu jajami, drobiem, trzodą, owocami, co wszystko razem daje ogromne dochody, które dziś zabierają przekupnie, bo przez ciemnotę a temsamem zazdrość, nieufność, podejrzliwość, wolimy, by to handlarze wzięli, aniżeli swoi we wsi.

Zabawa też jest koniecznie potrzebną tak dla młodych, jak dla starszych. Niech kółkowczynie uradzą z mężami, kiedy zabawę urządzić, jaki czas najlepszy. Niech będzie muzyka, tańce, różne gry i zabawy, zaprosić dwór, szkołę i jegomości, na wiosnę lub w jesien urządzić to na jakimś placu, dać coś piwa i przekąski, dostarczone przez gospodynie, a będzie to i miłe i ładne, zespoli wszystkich razem pogadanka pójdzie gładko, a nie będzie zgorszenia i obrazy boskiej, jak dotąd bywa. Rozumie się, że na taką zabawę nie przyjdzie taki, co lubi karczmę wycierać, hulać i próżniaczyć. Gdyby przyszedł, można go grzecznie wyprosić lub zostawić na boku a gdy żadna dziewucha nie zechce z nim tańczyć, pójdzie on po rozum do głowy i.. może się poprawi. Gdy się zaś poprawi, przyjąć go do swego grona, jak syna marnotrawnego.

Hej matki i dziewczęta! — Siła dobrego zrobić można bez kosztów i wielkiej pracy!



W drodze na łowy.

Kobieta, Polka, chrześcijanka będzie miała zawsze na myśli najpiękniejszy wzór do naśladowania: Matkę Chrystusa, która jest lekarką dusz zbolałych. Bądź i ty, kochana siostro, lekarką chorego społeczeństwa, nie ociągaj się ani na chwilę, nie bój się wyśmiania, plotek, niech cię nazywają, jak chcą, idź naprzód do światła i wskazuj je innym, że tylko ta a nie inna droga prowadzi do dobrobytu i spokoju, którego nasza biedna kraina tak bardzo potrzebuje.

St. Zalasiński.

Mierność, to rzecz powszechna, lecz miara, rzecz wielka,
I tylko wielką miarą stoi wielkość wszelka.

Wincenty Pol.

* * *

Nie ma nieszczęścia, któreby dorównywało nieszczęściu zmarnowanych skarbów ducha; nie ma większej zbrodni nad zbrodnię ich zmarnowania.

Eliza Orzeszkowa.



Dzieło techniki nowożytnej.

Kanał panamski.

Kanał panamski, to kolosalne dzieło techniki nowoczesnej, z którego budową wiążą się również kolosalne spekulacye i nadużycia, zbliża się ku końcowi. Najdalszy termin ukończenia robót oznaczony jest na dzień 1-go stycznia 1915 r., ale niesłychana energia, z jaką rząd amerykański wziął się do dzieła, daje wszelkie gwarancye, że otwarcie nastąpi znacznie wcześniej.

Gdy oba francuskie towarzystwa w przeciągu swej 25-letniej działalności (wprawdzie ze znacznemi przerwami) wykopały i wywiozły 81 milionów metrów sześciennych ziemi, Amerykanie od dnia 4-go maja 1904 r., t. j. od chwili kiedy weszli w posiadanie

kanału, wykopali do końca r. z. około 101 milionów metrów sześciennych ziemi. Ponieważ w sumie należy usunąć 175 milionów metrów sześciennych ziemi, a około 40 milionów roboty francuskiej jest wobec zmienionych planów inżynierów amerykańskich bez znaczenia, przeto pozostaje do usunięcia 25 milionów metrów sześciennych. Naturalnie, że doliczyć trzeba czas, który pochłoną roboty przy budowie wałów ochronnych, tam, spustów, śluz i innych urządzeń technicznych.

Kosztorys całej budowy wynosi 325 milionów dolarów, z których 20 milionów kosztują urządzenia sanitarne (budowa szpitali i t. d., gdyż warunki pracy, z powodu panującej febry są bardzo ciężkie), nadto 7 milionów dolarów pochłania administracya urzędowo-policyjna tej części kraju, do sumy powyższej dodać należy 50 milionów dolarów, które zapłacono jako indemnizacyę przedsiębiorstwom francuskim, oraz republice panamskiej.

Najciekawsza część robót obejmuje budowę wielkich podwójnych śluz na jeziorze Gatun. Przy pomocy tych śluz, których będzie 3 pary na różnych wysokościach, okręty podnosić się będą stopniowo do 8 i 10 metrów, na ogólną wysokość 28 metrów nad poziom jeziora Gatun. Dla uniknięcia zatrzymania ruchu z powodu nieprzewidzianych wypadków, jak również przewidując coraz to bardziej wzmożoną frekwencyę przejazdową, zbudowane będą na każdym poziomie jeszcze po 2 pary śluz zapasowych. Szerokość każdej z nich wynosi 33 metry, a długość 330 metrów. Bramy będą również podwójne, ażeby na przypadek gwałtownego uderzenia lub wyrwania pierwszej z nich, druga nie dopuściła do niepożądanego wylewu wody.

Wobec ogromnych wymiarów wyżej opisanych śluz będą one w możności przepuszczać swobodnie największe nawet okręty szerokości 20 metrów i długości 270 metrów, przejazd przez śluzy zajmie około $1^1/_2$ godziny czasu, a przepływ przez kanał około 15 godzin. Kolej, która idzie znacznie skróconą drogą, przebiega przestrzeń dzielącą oba oceany w przeciągu $2^1/_4$ godziny. Czas potrzebny do napełnienia komory śluzowej wodą jest miarodajny dla sprawności całego urządzenia, gdyż od tego zależy liczba przepuszczonych przez niego okrętów. Podług projektowanych obliczeń będzie potrzeba najwyżej 15 minut czasu dla napełnienia wodą jednej komory śluzowej, tak, że przypuszczalnie będzie można w ciągu doby uskutecznić 48 napełnień, co pozwala na przejazd floty o pojemności 80 milionów ton. (Analogiczna wielkość w kanale sueskim wynosi 21 milionów ton.)

Roboty pod zarządem amerykańskim idą naogół bardzo sprawnie, ale i szczęśliwie. Oprócz kilku nieznacznych osunięć ziemi, żadnych poważniejszych przeszkód przy tej ogromnej budowie nie było. Ilość wydobywanej ziemi z roku na rok wzrasta i oznaczony termin ukończenia robót będzie z pewnością dotrzymany. Zaznaczyć należy, że amerykański rząd wznosi po obu stronach kanału na przyległych wyspach silne fortyfikacye kosztem 100 milionów dolarów.



Dobrego śladem!

Zapatrz się w dzieje ojczystej krainy,
A rozważając dawne przodków czyny,
Ucz się z kart smutnych opierać się złemu,
Ucz się z kart jasnych dążyć ku dobremu.

Nie gań przeszłości; ojcom, co już w grobie,
Win wspominać nie godzi się tobie.
Na dobrem ufunduj podwalinę nową
Pod przyszłą naszą ojczyznę — ludową.

Kto mówi głośno, że Polskę miłuje,
A w jej przeszłości rad błędy widuje
I stąd oświecić chciałby lud poczciwy—
Biedneż to serce, Polak to wątpliwy.

Ferdynand Kuraś.



To i owo.

O miliony Ogińskich.

Sąd okręgowy petersburski przystąpił już do rozpatrzenia olbrzymiego a sensacyjnego procesu, w którym na ławie oskarżonych zasiedli dwaj samozwańczy spadkobiercy zmarłego przed kilku laty magnata polskiego, księcia Bogdana z Kozielska Ogińskiego wraz z pocztem swych samozwańców pomocników.

Ława oskarżonych przedstawia rzadką „mieszaninę strojów i osób, plemion, języków i stanów.“

Są tu i stare nazwiska rodzin biurokracyi rosyjskiej i człowiek z przeszłością kryminalną, pomimo młodego wieku, pozbawiony już przez sąd wszelkich praw szczególnych, i przedstawiciel stanu adwokackiego, i ksiądz.

Oto lista tych oskarżonych:

Masztalerz dworu, dymisyonowany pułkownik gwardyi Włodzimierz, syn Michała, Wonlarlaskij, lat 57.

Syn jego, dymisyonowany kapitan lejb-gwardyi pułku Preobrażeńskiego Dymitr Wonlarlarskij, lat 29.

Szlachcic Witold Julian, syn Karola Wacława, Długołęcki, lat 63.

Adwokat przysięgły z Warszawy Zdzisław, syn Feliksa, Pilecki, lat 59.

Szlachcic Michał, syn Michała, Proniewski, lat 57.

Adwokat przysięgły z Petersburga Dymitry, syn Michała, Kazandziew, 31 lat.

Pozbawiony praw Inocenty, syn Jana, Jaroszewski, lat 35.

Referent konsystorza metropolitalnego archidyecezyi mohylowskiej, dymisyonowany porucznik ze szlachty, Hipolit, syn Dominika, Monkiewicz, lat 50.

Ksiądz Stanisław, syn Kajetana, Dąbrowski, lat 43.

Mieszczanin Jan, syn Adama, Michałowski, lat 44 oraz

osobisty obywatel honorowy Zygmunt, syn Mikołaja, Olszewski, lat 46.

Wszyscy oni są oskarżeni o większy lub mniejszy udział w sporządzeniu fałszywego testamentu księcia Bogdana, syna Ireneusza, z Kozielska Ogińskiego.

Świadków powołano kilkadziesiąt osób z różnych sfer.

* * *

Koniec floty Zeppelina.

Balon „Deutschland,“ zniszczony obecnie, jest dziewiątym z rzędu balonem Zeppelina, który uległ katastrofie. Wobec tego cała t. zw. flota powietrzna Zeppelina jest zniszczona, co przedstawia szkodę kilkunastu milionów marek. Ogólnie sądzą, że dalsze budowanie balonów systemu Zeppelina będzie wogóle zaniechane, przekonano się bowiem, że w dzisiejszem stadyum walki o podbój powietrza balony Zeppelina były już anachronizmem, zgoła nieużytecznym, a ogromnie kosztownym.

* * *

Oryginalny przegląd.

W szeregu widowisk, jakie z powodu koronacyi odbywać się będą w pałacu kryształowym w Londynie, wielkie zainteresowanie wśród ludności wywołuje zamierzony przegląd wszystkich możliwych nienormalności w budowie fizycznej upośledzonych przez naturę jednostek. Pochód ich otworzy orszak



Pierwsza próba.

najwyższych ludzi w Anglii, na których czele postępować ma 22-letni Fryderyk Kempster, przenoszący 2 metry 20 centymetrów. Młodzieniec ten, przy doskonałej budowie, posiada niebywałą siłę fizyczną.

Za olbrzymami postępować będzie orszak karłów, z których prym dzierży 23-letni człowieczek, wysokości 90 centymetrów.

Jako osobny punkt programu wyznaczono żywe obrazy, w których ma wziąć udział 30 najpiękniejszych Angielek.

* * *

Ile zjadają dziennie armie Europy?

Publicysta włoski E. Mole, zadał sobie trud obliczenia, ile też środków żywności spożywają w jednym dniu armie sześciu mocarstw europejskich? Ich stan czynny w czasie pokoju oblicza Mole na trzy miliony głów. Otóż na wyżywienie tych olbrzymich zastępów potrzeba dziennie: 45,000 centnarów chleba, 30,000 centnarów mięsa, 15,000 centnarów konserw mięsnych, 6,000 centnarów ryżu, 1,800 centnarów słoniny i innych tłuszczów, 1,200 centnarów soli, 1,860 centnarów cukru, 1,440 centn. kawy i 7,500 hektolitrów wina (we Francyi i we Włoszech.) Do tych ilości doliczyć należy jeszcze kartofle i jarzyny. Według obliczenia Molego utrzymanie tych armij na stopie wojennej pochłaniałoby dziennie 180 milionów marek. Zatem w razie ogólnej wojny europejskiej, w której brałyby udział wszystkie mocarstwa, potrzebaby było jedynie na wyżywienie tych armij miesięcznie 5 i pół miliarda marek, a w razie, gdyby wojna ta trwała rok cały —— przeszło 60 miliardów marek.

* * *

Ile słów wypowiadamy w roku?

Jeden z angielskich uczonych wziął sobie za zadanie obliczyć w przybliżeniu, ile słów człowiek przeciętnie wy-

powiada w jednej dobie. Otóż przyjąwszy, że człowiek, mówiąc szybko, wypowiada w jednej minucie 100 słów, co w godzinie czyni 29 stronic druku w ósemce, dalej, jeżeli się przyjmie, że na dobę mówi człowiek trzy godziny, wypadnie 600 stron druku w jednym tygodniu, zaś w roku powstanie z tego 52 tomów o 600 stronicach.



Przy okienku.

Przy okienku, gdzie bluszcz się zieleni,
Młoda matka swe dziecię kołysze —
I pieśń tęskna rozbrzmiewa w przestrzeni
W dal, w wieczorną unosząc się ciszę...

Drzemie dziecię przy piersi matczynej,
Stula w słodkiem marzeniu powieki —
A tam — w sercu, w pamięci dzieciny
Tony pieśni zostaną na wieki...

Pieśń matczyna — to pieśni Aniołów,
Zaświatowej harmonii to echo...
Pośród ziemskich nam dźwięczy padołów
Dziwnie rzewną i słodką pociechą.

Jakby w słońcu rój złotych motyli
Błyszczą wróżby w niej szczęścia i chwały.
O! jak ludzie szczęśliwi by byli,
Gdyby wróżby się matek sprawdzały!...

Stanisław Grudziński.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 28-go maja 1794 rada najwyższa obejmuje rządy kraju. — 1831 bitwa pod Grajewem.

Dnia 29-go maja 1592 koronacya i zaślubienie Anny Austryaczki z Zygmuntem III.

Dnia 30-go maja 1515 przymierze z królami węgierskim i czeskim. — 1792 zamknięcie sejmu czteroletniego.

Dnia 31-go maja 1364 uprzywilejowanie przez Kazimierza W. Akademii krakowskiej. — 1831 bitwa pod Lidą.

Dnia 1-go czerwca 1794 poselstwa zagraniczne uznają radę najwyższą. — 1809 ucieczka Austryaków z Warszawy.

Dnia 2-go czerwca 1260 rzeź Sandomierzan przez Tatarów. — 1642 urodzenie Jana Sobieskiego. — 1831 bitwa pod Tyszycą.

Dnia 3-go czerwca 1035 ucieczka Ryksy z Polski. — 1568 kardynał Hozyusz sprowadza Jezuitów do Warmii. — 1652 rzeź kozacka pod Batowem.

Humor i satyra.

Z facecyj autentycznych.

Bernardyn i Jezuici.

Braciszek bernardyński zaszedł na noc do karczmy wiejskiej, gdzie literalnie nic dostać nie było można; ale przezorny Bernardyn nosił wszystko ze sobą; a że to był dzień postny, wydobył z zawiniątka ułowioną po drodze rybę i potrzebne do niej przyprawy, polecił gospodyni, aby mu to przyrządziła, a sam znużony położył się za piecem, aby wypocząć. Tymczasem zajechało do tej karczmy dwóch Jezuitów. — „Nie macie co jeść gosposiu“ — zapytuje pierwszy na wstępie. — „Gdzie tam, proszę jegomości; bieda, nic się u nas nie znajduje.“ — „A co się tam smaży na kominie?“ — zapytuje drugi, zaglądając ciekawie do tygielka.“ „A to proszę jegomości ryba, ale nie moja, ino tego zakonnika kwestarza, co śpi za piecem.“ Jezuici zbliżyli się obydwaj do śpiącego niby, ale dobrze wszystko słyszącego braciszka. — „Laudetur Jezus Christus.“ — zagadnął jeden z nich.“ In saecula saeculorom“ — odmrukuje niby budzący się kwestarz, — „a kto wy tacy pyta z kolei.“ „Towarzysze Chrystusa,“ brzmi odpowiedź. „Przy urodzeniu, czy przy śmierci?“ — zapytuje dalej leżący ciągle braciszek. — „Przy urodzeniu“ — odpowiada jeden z Jezuitów. — „A to wół i osioł“ — mówi Bernardyn. — „Przy śmierci“ poprawia drugi Jezuita. — „No, to dwóch łotrów.“ — „Ależ frater nie żartuj, wstań i chodź pogadaj z nami, jesteśmy Jezuici, zmuszeni tu nocować tak jak i ty, będzie nam razem weselej.“ — „Gdzież mnie braciszkowi równać się z waszemi wielebnościami,“ — tłómaczy się niby skonfundowany braciszek, podnosząc się powoli. Jezuici tymczasem zaczynają rozmowę od pouczających pytań: — „Czy wiesz, co znaczą te litery J. N. R. J.“ rzecze jeden pokazując krucyfiks. — „To znaczy,“ odpowiedział znudzony już braciszek: „Jezuici Niebędą Ryb Jedli.“ Na tem się skończyła rozmowa, która przekonała Jezuitów, że nie tylko z Bernardynem wieczerzy nie podzielą, ale nawet nie dorównają mu w dowcipie.

* * *

Idylla majowa.

Wraz przytuleni,
W słodkim uścisku,
Myślą w przestrzeni,
Wśród gwiazd połysku, —
W parku siedzieli,
Jak gdyby w raju —
Jakiejś niedzieli.

Niemcy na wystawie w Poznaniu.



Antek z Wildy: A cośta się tak uzbroili kiejby na jaką wojnę?
Niemiec z Bawaryi; Na nu! toć przecież u was ma być pełno kosynierów!

Było to w maju.
„Kocham“ namiętnie
On szepcze cicho,
A ona chętnie
Słucha, aż licho,
Za ich głowami,
Jak lew dyszący,
Parsknął nozdrzami
Osioł, skubiący
Listki zielone.
Zacne oślisko
Form towarzyskich
Nie znał tak blizko,
Chcąc nie chcąc tedy
Spłoszył kochanka —
No i prysnęła
Cała sielanka,
Bo młodzian z trwogi,
Pragnął ujść cało,
Więc dalej w nogi
Ile sił stało.
Lecz dziewczę żywo
W tył się spojrzało
No i o dziwo
Osła ujrzało. —
A więc zdziwiona
Ucieczką gacha,
Co zląkł się osła,
Jak dziecię stracha,
W duszy myślała,
Że ten jej drogi:
To zwykły sobie
Osioł dwunogi!

* * *

Rozumowanie poety.



Jak chętnie najadłbym się raz do sytości! Cóż kiedy umrę potem z głodu.

* * *

Pracowitość.

Kupiec (do nowego ucznia): Wypłukałeś już wszystkie flaszki?... Dobrze. Nie siedźże teraz darmo, tylko chwytaj muchy i przylepiaj na papier klejowy, który jest wystawiony za oknem dla reklamy. Nie próżnować! Praca człowieka uszlachetnia!...

* * *

Szlachetne oburzenie.

Hrabina. Widziałam doktora wychodzącego naprzeciwko od szewcowej, na cóż to ona choruje?

Lekarz. Nie mogę hrabinie powiedzieć, to tajemnica zawodu.

Hrabina. Jakże choroba takiej zwyczajnej kobiety może być tajemnicą zawodu?

* * *

Zgadł.

Żona pokazując mężowi fotografię.

— Patrz, Józiu, czym podobna na tej fotografii?

— Nie bardzo... Ale to zdjęcie momentalne!

— Taak?... A po czem poznałeś?

— Bo masz usta zamknięte!

* * *

Dwie myśli.

I.

Gdy lichy obiad żona czyni,
To znak, że dobra jest z niej gospodyni,
Że dba o męża — i że w żadnym czasie
Nie rozłakomi go — i nie przepasie.

II.

A jeśli żona czasem oczkiem strzela —
Do mężowskiego niby przyjaciela —
To także dobrze — bo mąż, gdy zmiarkuje,
Że się coś święci — to żony pilnuje.

* * *

Nie ma go w domu.

— Pan Antoni w domu
— Nie ma go.
— A więc zajrzę o trzeciej.

(O trzeciej.)

— Pan Antoni w domu?
— Nie ma go.
— A więc zajrzę wieczorem.

(Wieczorem).

— Pan Antoni w domu?
— Nie ma go.
— Kiedyż będzie?
— Nigdy. Umarł przed miesiącem.

* * *

Żebrak - satyryk.

— Jakże mój stary? Czy opłaci się być ślepym?

— O, i owszem — jeśli jest się mężem.

* * *

Miły kuzynek.

— Ciągle tylko pieniędzy i pieniędzy zawsze. Bogu dzięki, że nie mam więcej takich kuzynów.

— Wierz mi, drogi wuju, najzupełniej podzielam twoje zdanie. I ja dziękuję Bogu, że jestem jedynym twym kuzynem.

Arytmogryf.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ p. Czesław S. z prowincyi.

123456789 — Muzyk polski.
126753 — Produkt rybi.
456789 — Miasto w Królestwie polskiem.
13562 — Zwierzę domowe.
892312 — Naczynie do picia.
89545 — Część twarzy.
13268562 — Żona rzemieślnika.
32878912 — Stopa pewnego zwierzątka.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 1-go czerwca włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie arytmogryfu.

Rozwiązanie zagadki krzyżowej, zamieszczonej w nr. 20-ym:

Ostryga.

Trafne rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 18-go b. m włącznie następujące osoby: pp. Zofia Rakowska z Poznania, F. Kulesza ze Szamotuł, Jadwiga Scholtz i Łucyan Beutlich z Wrześni, Zofia Mąka z Czermina w powiecie pleszewskim i Anusia Jankowska z Torunia.

Nagrodę otrzymali: pp. F. Kulesza ze Szamotuł, Zofia Mąka z Czermina i Anusia Jankowska z Torunia.

NASZ KĄCIK.

Moje drogie dzieci!

Chociaż latami bardzo młode i niedoświadczone, zdajecie sobie jednak pewnie sprawę z tego, jak to dobrze, że w szkole nauka odbywa się podług naprzód ułożonego planu. W ten sposób każdy przedmiot ma swoją godzinę przeznaczoną, nie ma straty czasu i każda chwila pożytecznie upływa. Jakby to dobrze było, gdybyście i wy także urządzili sobie taki plan zajęcia i rozrywek i zastosowali się do niego w domu zawsze, a zwłaszcza w czasie wakacyi. Najprzód i przedewszystkiem trzeba wyznaczyć czas na odrabianie szkolnych zadań, potem na wyręczenie mamy w domowem gospodarstwie, na zajęcie się młodszem rodzeństwem, na przechadzkę lub zabawę na świeżem powietrzu i koniecznie, codziennie choć pół godzinki na naukę ojczystego języka. Jeżeli w domu nie ma kogoś, ktoby miał czas i mógł wam w tem dopomódz, zabierzcie się do tego same, a przy dobrych chęciach trudności pokonacie. Podwójną będziecie mieć korzyść, jeśli rozpoczniecie wprawiać się w pisaniu, czytając książkę z naszemi, polskiemi dziejami. Skupiwszy całą uwagę kilkakrotnie przeczytajcie jeden ustęp, choćby tylko kilka zdań, starając się zapamiętać tak treść, jak i pisownią trudniejszych słów, a potem zaraz to, co przeczytaliście, napiszcie z pamięci w zeszycie. Następnie z książką w ręku, słowo po słowie porównajcie to, co napisaliście z tem, co wydrukowano w książce. Każdy błąd trzeba podkreślić i zaraz zrobić poprawkę. W ten sposób będziecie równocześnie nauczycielem i uczniem. Czyż to nie zabawne a zarazem pożyteczne zajęcie? Zastosujcie je drogie dzieci do siebie, dobrze? — Rozwiązując zagadkę o św. Wojciechu wiele z pośród was ślicznie napisało o owym wdowim groszu, który przeważył szalę i przyczynił się do wykupienia od pogan ciała naszego Patrona. Cud to był oczywisty, dziś już go nie godni jesteśmy i nie ma wśród nas świętych, lecz czy znacie przysłowie: „Oświata ludu dokona cudu?“ Tak dziateczki i grosiki wasze przyczynić się do tego mogą, słuchajcie w jaki sposób. Często zdarza się, że zgłaszacie się do mnie z prośbą o ułożenie wierszyków na różne uroczystości rodzinne. Chętnie zawsze czynię wam zadość i nadal też pragnę spełniać wasze prośby, ale pod warunkiem, że wedle możności choć drobny datek nadeślecie do „Pracy“ na cel: „Pomocy naukowej dla dziewcząt polskich.“ Pieniążki możecie przysłać w znaczkach, nazwisko będzie wymienione w „Kąciku“, a grosz dziecięcy powiększy fundusz Towarzystwa, które dopomaga w kształceniu młodym, niezamożnym dziewczętom i kto wie, może i wy, lub siostrzyczki wasze będą w przyszłości z niego korzystać. Więc, kto chce wierszyka, niech nadeśle swój grosik i nie żałuje ofiary! — Ale za to ani jednego grosza nie powinno żadne z moich drogich dzieci zanieść ' wydać na otwartej tu, w Poznaniu wystawie. Prawda, że nie dacie się popchnąć ciekawości zobaczenia czegoś nowego i nie pójdziecie tam, skąd zupełnie usunięto naszą polską mowę? — *Irenka Mrówczyńska. Poznań.* Jeszcze raz uważnie przeczytaj Irenko wiadomą odpowiedź, a przekonasz się, że dotyczyła ona innej dziewczynki, nie ciebie! *Jadzia Leporowska. Środa.* Cieszę się z obietnicy częstego odbierania od ciebie liścików, zastosuj się Jadziu do nauki danej w tym „Kąciku“! *Maryś i Kazio Ochenduszkowie. Lisko, Galicya.* Ogromnie mnie pocztówka ucieszyła, wasze miasteczko bardzo się ładnie na niej przedstawia. Napiszcie mi chłopczyki coś więcej o sobie! Tak lubię wszystko wiedzieć o moich dzieciach i potem myślą odbywać wędrówki i przenosić się szybko wyobraźnią z Poznania na obczyznę, do Galicyi i znów do naszych miasteczek i wiosek. Każdemu z dzieci śle serdecznego całuska kochająca przyjaciółka

Paula Wężyk.

Czerwony zeszycik.

(Mój dzienniczek.)

Mokoszyn, 20. 7.

(Ciąg dalszy).

Teraz kiedy uczę dzieci, widzę, ile to p. Mieczysław miał kłopotu nim ja się nauczyłem tego wszystkiego, co już umiem i teraz jeszcze więcej kocham go za to. — Staszek to zdolny chłopak i aż mu się oczy do książki śmieją, Kasia też dosyć pojętna, ale dzieci Marcina Antosia i Janek, to strasznie zakute głowy, staram się jednak bardzo być cierpliwym, żeby ich nie zniechęcić. Aż strach wiele tu u nas, w Królestwie ludu nie umiejącego czytać i pisać, między innymi i nasz Michał także, a wstydzi się tego biedak bardzo i ukrywa z tem jak może. Niedawno wrócił z wojska, a że oficer wziął go do siebie za lokaja, więc okropnie się zmoskwiczył i tak śmiesznie ciągnie i śpiewająco mówi i słowa przekręca. W czasie mojej lekcyi z dziećmi stara się ciągle pod jakimś pozorem kręcić po pokoju, przysłuchuje się uważnie, nachyla niby przypadkiem nad książką i litery oczami pożera. Poproszę rodziców, żebym go mógł wieczorami osobno uczyć. — Jesteśmy naprawdę bardzo nieszczęśliwym narodem! — Pan Mieczysław opowiadał mi, że przed kilku laty, kiedy to Rosya tak sromotną klęskę poniosła pobita przez Japończyków, dali nam, Polakom trochę swobody i zaraz cały naród jednomyślnie złożył drobnemi ofiarami ogromne pieniądze na „Macierz polską“, czyli fundusz na założenie dla wszystkich polskiej szkoły. Wnet potem jednak Moskale cofnęli znów pozwolenie, a pieniądze zgarnęli do swojej kieszeni, ale jak nam Pan Bóg dopomoże, to nasz lud i tak się oświeci, co do mnie to postaram się nauczyć chociaż Staśka, Zosię, Antosię i Janka, a może nawet i Michała. Oj, starego będę miał ucznia, raz starszego niż ja!

21. 7. 10. r. rano.

Dziś przyszła wiadomość, że dawno oczekiwana ciocia nareszcie przyjedzie. My z Halszką wcale tej nowej cioci nie znamy, bo gdy tu ostatni raz była, to ani Halszki, ani mnie nawet jeszcze na świecie nie było. Pomogliśmy mamusi i Józefie pokój na górze przygotować, będzie ciocia miała z balkonu ładny i rozległy widok na nasze wzgórza. Po obiedzie pojadę z mamusią po ciocię do Sandomierza, dokąd ciocia od strony Galicyi przez Wisłę się przeprawiwszy przybędzie.

Wieczorem.

Już ciocia jest u nas. Co mi też ta Halszka narobiła! Przywiózłszy ciocię, pobiegłem raz jeszcze na górę, aby zobaczyć, czy są już świeże kwiaty, które jej poleciłem tam zanieść; patrzę, jest wiązanka: żółte bratki, niebieskie lewkonie i sine astry. Dobre by ciocia na samym wstępie powzięła wyobrażenie o naszym guście! Pobiegłem czem prędzej do ogrodu i przyniosłem kilka świeżych róż. Ciocia pewnie bardzo lubi dzieci, bo nas serdecznie uściskała i dużo z nami rozmawia i opowiada o uroczystościach grunwaldzkich w Krakowie, gdzie właśnie jadąc z Poznania ciocia na parę dni wstąpiła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Tajemnica morza.

11)

(Ciąg dalszy).

Między innymi mówiliśmy o obecnem położeniu „Nautilusa,“ który uwiązł właśnie w tem samem miejscu, gdzie o mało nie zginął sławny podróżnik Dumont Urvill. Z tego powodu kapitan rzekł:

— Był to jeden z waszych najzdolniejszych żeglarzy. Nieszczęśliwy uczony! Ochroniwszy się od lodowisk podbiegunowych, od koralowych skał przy Oceanii, od ludożerców na oceanie Spokojnym, zginął nędznie w pociągu drogi żelaznej... Jeśli ten człowiek mógł zebrać myśli w ostatnich chwilach swego życia, można sobie wyobrazić ich naturę.

Mówiąc to, kapitan Nemo zdawał się być wzruszony, co zalecało go w mem pojęciu.

Rozglądaliśmy na mapie drogi, któremi żeglarz ów francuski świat wokoło opływał, rozważaliśmy dwukrotne jego usiłowania zbliżenia się do bieguna południowego.

— Co wasz Urvill zrobił na powierzchni morza — mówił kapitan Nemo — to ja czynię wewnątrz oceanu, a łatwiej i kompletniej od niego. Jego okręty tłuczone ciągle huraganami, nie mogą być porównane z „Nautilusem,“ w którym jest spokojny gabinet dla uczonego i stanowisko prawdziwe wśród wód.

— A jednak — odparłem — jest niejakie podobieństwo pomiędzy korwetami Urvilla i pańskim statkiem.

— A to jakie, panie Aronnax?

— Bo i „Nautilus“ osiadł na mieliźnie.

— Nie osiadł na mieliźnie, panie profesorze — odrzekł zimno kapitan — bo „Nautilus“ jest do tego, żeby osiadał na dnie morskiem, a ja nie podejmę prac niesłychanych i wysileń, jakie podjąć musiał Urvill, aby spłynąć na wodę. Jego okręty o mało co nie zginęły, mój nie jest nawet zagrożony. Jutro więc, w dniu naprzód wskazanym, w godzinie oznaczonej, przypływ wody podniesie nas nieznacznie i znów puścimy się na żeglugę przez morza.

— Ani wątpisz kapitanie...

— Tak, jutro — dodał kapitan, powstając — jutro o godzinie drugiej, minucie 40-tej z południa, „Nautilus“ spłynie bez uszkodzenia i opuści cieśninę.

Wyrzekłszy te słowa sucho, ukłonił mi się kapitan lekko, co znaczyło, że mam odejść; poszedłem do mej kajuty. Zastałem tam Konsela, ciekawego mej rozmowy z kapitanem.

— Mój kochany — powiedziałem mu — kapitan bardzo lekko przyjął moje zawiadomienie, że „Nautilus“ jest niejako zagrożony przez dzikich. Cóż ci więc mam powiedzieć? Zaufaj mu i idź spać.

— Nie potrzebują czego odemnie?

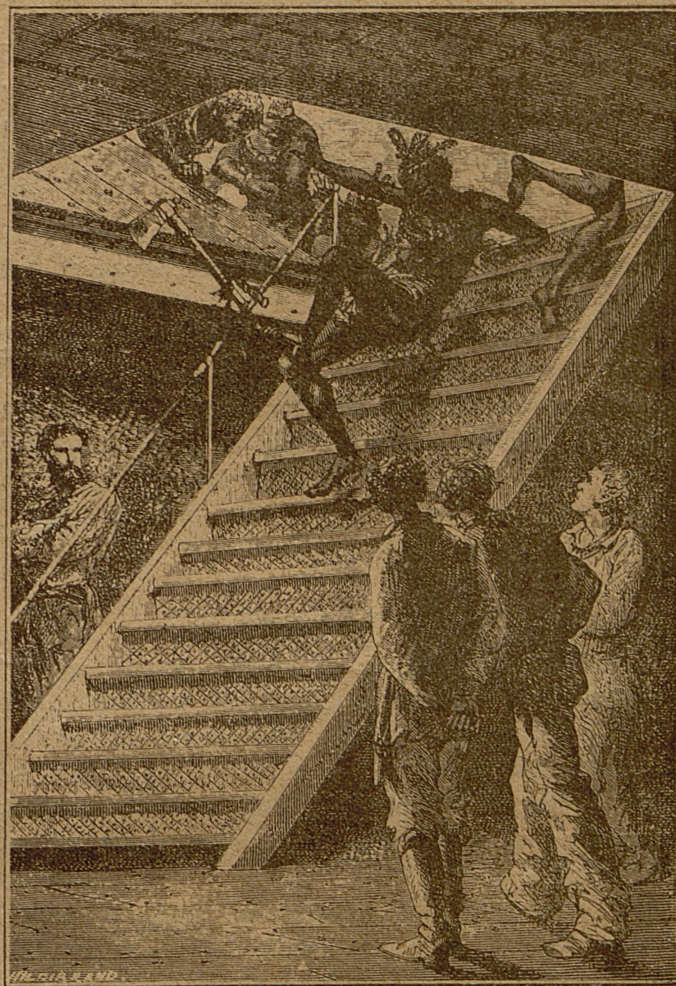
— Nic nie potrzebuję. A co robi Ned-Land?

— Ned-Land robi pasztet z kangura, i powiada, że to będzie wyborne.

Zostawszy sam, położyłem się, ale nie spałem jak należy. Słyszałem kroki dzikich na pokładzie i ich ogłuszające krzyki. Tak przeszła noc, bo osada ani się ruszyła. Tyle ją obchodzili ludożercy, co obchodzą fortecę dobrze uzbrojoną mrówki chodzące po jej murach.

Wstałem o szóstej. Okrętu nie otworzono, więc powietrze świeże nie weszło do wnętrza; ale rezerwoary napełnione niem na wszelki wypadek zasiliły ogołoconego z niego „Nautilusa.“ Pozostałem u siebie aż do południa, nie widząc wcale kapitana Nemo. Nie zdawało się, żeby na statku czyniono jakie przygotowania do podróży.

Poczekawszy jeszcze trochę, udałem się do salonu. Zegar wskazywał pół do trzeciej, więc za dziesięć minut woda powinna się podnieść do najwyższej swej wysokości, i jeśli kapitan nie zanadto zuchwale obiecywał odpłynięcie statku, to „Nautilus“ wyswobodzi się. Inaczej całe miesiące może być uwięziony w swem łożu koralowem.



...odrzucony został nie wiem jaką siłą...

Usłyszałem jednak już kilka drgnięć w szkielecie statku, niby przepowiednią tego co nastąpi. Pięć minut po pół do trzeciej, zjawił się w salonie kapitan Nemo.

— Zabieramy się do drogi — rzekł.

— Ach! — wykrzyknąłem lekko.

— Kazałem otworzyć wejście na pokład.

— A Papuanie?

— Papuanie? — odpowiedział kapitan, wzruszając nieco ramionami.

— Gotowi wejść do wnętrza statku.

— A to jak?

— Przez wejście, które pan każesz otworzyć.

— Panie Aronnax, niekoniecznie można wejść do „Nautilusa," choć otwory nie są zamknięte.

Wytrzeszczyłem oczy na kapitana.

— Pan mnie nie rozumie? — zapytał.

— Nie rozumiem — odpowiedziałem.

— No, to pan zobaczysz.

Poszedłem ku głównym schodom. Już tam byli Konsel i Ned-Land i przyglądali się ciekawie, co to będzie, gdy wejście zostanie otwarte; z zewnątrz słychać było wrzaski przeraźliwe i nawoływania.

Gdy odsunięto pokrywy, pokazało się ze dwadzieścia strasznych postaci. Ale zaraz pierwszy krajowiec, który położył rękę na poręczy schodów, odrzucony został nie wiem jaką siłą i uciekł, krzycząc w niebogłosy i łamiąc się w kształty potworne. Następnym, którzy wejść próbowali, to samo się stało.

Konsel był zachwycony. Gwałtowniejszej natury Ned-Land nie mógł wytrzymać na miejscu i rzucił się ku schodom. Ale gdy schwycił się poręczy, wywróciło go coś natychmiast.

— Do tysiąca szatanów! — zawołał, piorun we mnie uderzył!

Te jego wyrazy objaśniły mi wszystko. To już nie była poręcz, ale sztaba metalowa naelektryzowana; kto się jej dotknął, musiał doznać strasznego wstrząśnienia — a byłoby ono śmiertelne, gdyby był kapitan Nemo puścił cały strumień elektryczności. Śmiało można było powiedzieć, że kapitan odgrodził się od napastników... elektrycznością.

Przerażeni Papuanie umknęli, a my śmiejąc się na pół, uspokajaliśmy i tarli biednego Ned-Landa, klnącego jak potępieniec.

Tymczasem „Nautilus" podniesiony ostatniemi przybywającemi falami, wzniósł się ze swego koralowego łoża, właśnie o czterdziestej minucie na trzecią, jak kapitan zapowiedział. Śruba uderzała wodę ze wspaniałą powagą. Szybkość statku zwiększała się stopniowo, i płynąc po powierzchni wód, opuścił nieuszkodzony niebezpieczne mielizny cieśniny Toreadzkiej.

Gniew i niewola.

Nazajutrz, 10 stycznia, „Nautilus" zapuścił się pod powierzchnię morza i płynął z uderzającą szybkością. Obroty śruby były tak spieszne, że nie mogłem ich dojrzeć ni policzyć. Posuwaliśmy się prosto ku zachodowi. Skały podwodne były tu jeszcze liczne, ale rzadziej rozrzucone i wskazane na mapie z największą ścisłością, więc „Nautilus" ominął je z łatwością.

Dnia 13 stycznia przybyliśmy na wody, otaczające wyspę Timor. Wyspą tą rządzi książę dziki, którego książęce plemie zowie się potomstwem krokodylów — zatem ma najznakomitszy początek, do jakiego ludzka istota może mieć pretensyę! To też starożytni jego przodkowie, krokodyle, łuską pokryte, swobodnie sobie polują w rzekach wyspy. Pieszczone, szanowane, żywione, dostają w ofierze młode dziewczęta do pożarcia. Biada cudzoziemcowi, któryby się poważył podnieść rękę na ten święty ród jaszczurczy!

Z tych okolic zwróciliśmy się ku południo-zachodowi; przód okrętu kierował nas w stronę oceanu Indyjskiego. Gdzież nas prowadzi ten dziwak kapitan Nemo? Czy zawróci ku brzegom Azyi, czy się posunie ku Europie? Jedno i drugie nie zdawało się prawdopodobne u człowieka, który uciekał od lądów zamieszkałych. Dnia 14 stycznia byliśmy zdala od wszelkiej ziemi. „Nautilus" zwolnił niezmiernie swoją szybkość, płynąc kapryśnie to głębią wód, to na ich powierzchni.

Kapitan Nemo czynił zajmujące spostrzeżenia podczas tej podróży, co do temperatury rozmaitej morza w różnych jego warstwach. I czy naciskając swe rezerwoary, czy zanurzając się ukośnie po płynnej pochyłości, dosięgał „Nautilus" głębi na trzy, cztery, pięć, siedm, dziewięć i dziesięć tysięcy metrów — zawsze wypadek doświadczeń był ten sam, a mianowicie: że temperatura morza w głębi tysiąca metrów, wynosi pod każdą szerokością cztery i pół stopni.

Mocno mnie zajmowały te badania, a kapitan Nemo brał się do nich z prawdziwym zapałem. Często sobie zadawałem pytanie: jaki on miał w tem cel? Nie zdawało się, by je chciał oddać na korzyść ludzi, bo prędzej czy później, wypadek jego dochodzeń zginie wraz z nim w nieznanych głębinach morskich. Chyba że miał zamiar mnie powierzyć wyniki swych doświadczeń! Ale w takim razie należało przypuścić, że się raz skończy ta szczególna podróż moja — a nie zdawało mi się, żeby się na to zanosiło, aby mię wypuścił na wolność.

Dnia 16 stycznia „Nautilus" zdawał się drzemać o kilka tylko metrów pod wodą. Przyrządy jego elektryczne stały nieczynne, śruba była nieruchoma, pozwolił więc unosić się prądom. Przypuszczałem, że osada zajmuje się wewnętrznemi reparacyami, które mogły być niezbędne z powodu gwałtownej działalności, do jakiej machina zmuszana bywała.

Wówczas to ja i moi towarzysze widzieliśmy ciekawe zjawisko. Ściany salonu były odsłonięte. Latarnia na froncie „Nautilusa" nie płonęła, panował więc na statku pogrążonym w wodę, jakiś mrok nieokreślony. Niebo burzliwe i gęstemi pokryte chmurami, dopuszczało do pierwszych warstw wody światło bardzo niedostateczne. W tem świetle najogromniejsze ryby wydawały się jak cienie ledwie nieco obrysowane— gdy nagle „Nautilus" wpłynął w mocną światłość. Zdawało mi się zrazu, że zapalono latarnię, z której światło elektryczne rozlewało się na wodę; myliłem się.

„Nautilus" pływał wśród pokładów wody nafosforyzowanych, tem więcej błyszczących, że je otaczały pokłady ciemne. Fosforyzacya ta pochodziła od niezliczonych ciałek świetlnych, których blask wzmagał się przy tarciu o metalowy pancerz statku. Wówczas jakby błyskawice tryskały, niby strugi ołowiu roztopionego w piecu ognistym, albo masy metaliczne rozżarzone do białości. Nie były to już łagodne promienie naszego zwyczajnego na statku światła; była tam potęga niezwykła i ruch niezwyczajny! Widać było, że to światło żyje.

Żyło istotnie, bo było to nagromadzenie niezliczonych wymoczków morskich, wielkości ziarnka prosa; kuleczek materyi przezroczystej, opatrzonych mackami nitkowatemi. „Nautilus" długo pływał po tych błyszczących falach, a myśmy się dziwili, widząc wielkie zwierzęta morskie, igrające w nich. Patrzyliśmy na pogrążone w tym nieparzącym płomieniu zwinne i zgrabne delfiny. Pokazywały się także ryby mniejsze. Czarodziejski był ten olśniewający widok. Być może, że jaka przypadłość atmosferyczna powiększała wydatność tego zjawiska — może burza się zbierała na powierzchni wód; ale w tej głębokości kilku metrów, „Nautilus" nie czuł jej szału, i bujał się łagodnie wśród spokojnej głębi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

36)

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Szczęściło mu się jak wówczas, gdy na egzekutne zaległych podatków gotowy pieniądz w kieszeni znalazł, a pan Piotr radośnie wykrzyknął: — Co za szczęście kochasiu! ze ten grosz masz właśnie!...

Tylko się na pozyskanie tego szczęścia zbytkownej rzeczy pozbył i zatłumił w sobie gorżkie uczucie upokorzenia, które się z tym aktem zbytu łączyło, tylko to, to jedynie zrobił...

I tak postępował wytrwale przez sześć lat najpiękniejszej swej młodości, która się zdaje ludziom najswobodniejszą, najweselszą porą użycia: wszystkie siły ciała i ducha na jedno przedsięwzięcie skupił, do jednej myśli je przywiązał a całą wolą tak skoncentrowanej istoty swojej nad sobą i osobistemi chęciami swemi zapanował. Nie ociągał się wstawać codzień o świcie, nie lenił się pracować co dzień do zmroku. Nie przesiadywał w domu upałów letnich, deszczów jesiennych, mrozów zimowych, i jak ci, których wtenczas na pańszczyznę karbowy co rano wywoływał, mówił sobie codziennie: — Musisz wstać i iść do roboty twojej... więc też siał w porę, w porę zbierał. Siwą sukmankę nie z fanfaronady nosił, pługa nie na żarty się imał, aby nie płytko wierzchem ziemi chodził, ale całą rodzajną jej warstwę do głębi wzruszył. Zaszła mu drogę namiętność nieszczęśliwa, pod którą zachwiał się i zesłabł: upił się starem winem p. Pawła, przegrał pieniądz, który za swój nie uważał i drgnął przestraszony. Panna Wanda, czyli kobieta nie umiejąca być szlachetnie kochanką i żoną pracującego tak, jak on człowieka, wprowadziła mu w serce rozstrój gwałtownej, szarpiącej, niespokojnej miłości, i on tę miłość wyrwał sobie z serca, choć się krwawiło i płakało mu w piersi. — Miłość moja nie może mnie spychać z drogi obowiązku — powiedział sobie.

— Uczucie dobre nie robi tego nigdy — dodał smutnie i tak, jak z tą miłością, z tem uczuciem, którego wartości przez dobroć owoców jego nie poznał, postępował z dnia na dzień, z godziny na godzinę z wszelkiemi przypadłościami życia i rzutami własnej swej istoty. Miał i on słabości jak inni, miał pokusy, poszepty: czasem chęci leniwe, czasem pragnienia gorączkowe, porywy których naprzód nie obliczył, których wczoraj w sobie się nie domyślał, ale nie ustąpił im nigdy w tem, aby zostawić dnia którego niepodniesiony ciężar pracy obowiązkowej, i cały dramat walki wewnętrznej rozgrywał się w nim tak głęboko, więc tak cicho, jak cicho rozerwał swój stosunek z Wandą. Nie strzelał się o nią z Włochem, choć kipiał cały gniewem, żalem, zazdrością; nie bił się z impertynenckim szulerem, bo czuł, że się własnowolnie na impertynencyą jego podał, tylko tej kobiecie, której nie mógł kochać dłużej bezkarnie, powiedział natychmiast z boleścią cichą: — Żegnam panią...

Choć wołała za odchodzącym, nie przystanął; choć wzywała go żałośnie, nie powrócił. Był to dzień dla woli jego znojniej pracowity, ciężej wysilający, ale wola ta pracowała przecież codzień: pilnowała, aby był oszczędnym, gdzie chętnieby rzucił; twardym w uczuciach, które go przenikały wskroś miękkością dziedziczną. Przez siłę tej woli powiedział siostrze smętnej i sercem zbolałej: — Znój się i ty razem zemną! przez siły tej woli wyprowadził rodziców starych z pod dachu domu rodzinnego i osadził w dworku małym ze strzechą słomianną. Od zwyciężonej dumy szlachcica, którą w chacie leśnej zamknął, do uczucia dla kobiety już najdroższej, które przez cztery lata w sercu ukrywał, wszystko było tej woli działaniem. Była to wola kamienna, której niech nikt mu nie odmówi, choć go prowadziła cicho, przez drogi życia zwyczajne. Gdy z końcem szóstego roku próby swej ciężkiej podniósł nagle za nogi wołu ogromnego — odkupił zaprzepaszczoną ojcowiznę swoją, stare swe gniazdo rodzinne — Kamień, był to tej woli tryumf wspaniały, który mógł mu czoło jasne podnieść do góry.

— Szczęśliwy bo jest ten Jaś kochany! — zawołała wtedy chórem młodzież całej okolicy, a który z tych starszych panów braci, co jeszcze po łacinie dobrze umieli, mógł wypowiedzieć nad nim błogosławieństwo starorzymskiej praktyczności: — Beatus qui tenet! Błogosławiony dlatego, że siły, które posiadanie zapewniają, w sobie wyrobił, że ich marnie na boki ne roztrwonił, i miał na to dość gorącego ukochania, dość myśli rozumnej. Błogosławiony niech będzie zatem dla swojej miłości, dla swojego rozumu, dla swojej siły — dla woli swojej hartownej!...

A jak błogosławił go ojciec stary, matka wzruszona!— — Niech cię Bóg kocha dziecko dobre, synu poczciwy! — mówił p. Piotr, ustami, które drżały, kładąc trzęsące się od wzruszenia ręce na głowie już nie młodzieńca, ale męża, który się niemniej do kolan ojcowskich pochylił. A był to jak niegdyś jasny, słoneczny poranek dnia czerwcowego; na wieży starego kościoła dzwoniły również dzwony, lud całej wioski świętował, roił się w opłotkach wiejskiej ulicy, stał gromadkami w podwórkach. Tylko teraz dźwięk dzwonów był wesoły, jak serce starego dzwonnika, który w nie uderzał, na nabożeństwo zwołując; świętowanie gromady kamieńskiej było radosne i uśmiechnięte. — Nie był to zły i on łyk Oktabowicz... mówiono sobie, głowami kiwając, ale lepszy im był zawsze stary pan Kamieński, z którego dziadem i pradziadem ich dziady i pradziady żyły na jednym ziemi kawałku. Razem tę ziemię orali, szli jednakowo do tej ziemi na odpoczynek wiekuisty. Co mogło być za życia sporu i różnicy, zagładziło się i wyrównało w tem schronieniu ostatniem, prochy się z sobą zmieszały i pogodziły a Męka Boża jednakowo wyciągnęła nad nimi ramiona. Dla wspólności więc owych przeszłych dziejów życia, dla wspólności mogił ojcowskich istniała między p. Kamieńskim z białego dworu, a gromadą wioski z chat drewnianych, pewna nić łącząca, którą dobrotliwa natura p. Piotra umiała zadzierzgnąć w węzeł uczucia serdecznego. Więc

radowano się w Kamieniu powrotowi jego pod dach rodzinny, w progi domu ojczystego; cieszył się lud, dzwoniły wesoło dzwony, klekotał bocian na starej lipie sadu.

A wszyscy: lud, dzwony, bociek długonogi, zdawali się wołać jednakowo: — Dobry syn! dziecko poczciwe... Powietrze czerwcowe ciepłe, wonne, przeniknięte zapachem róż, macierzanki, przejęte aromatem kwiatu pszenicznego, zdawało się słowa te brać i nieść przez pola, lasy, aż do polanki w dębniaku, aż nad strumień Kamionki szumiącej.

— Dobry syn, poczciwe dziecko!... szedł głos powietrzem kamieńskiem, a Kroczewski i Walenty karbowy stali zasłuchani w kredensie, gdzie poczęstowawszy ich uroczyście tabaką, Wincenty opowiadał z przejęciem jak młody pan doszedł do tych szczęśliwych rezultatów, które ich radowały. Co rok odkładał na stronę taką samą sumę, jaką niegdyś płacił ojcu z dzierżawy Kamiennej Woli; panna Jadwiga już od drugiego roku musiała uzbierać z mlecznego gospodarstwa akurat drugie tyle i starczyć tem na cały wychód domowy... Młody pan nakupił jej ślicznych krów jak spławy, postawił co się zowie obory, dał starego, uczciwego Póżytę, aby z nabiałem co tydzień do Warszawy jechał, ale musiało z tego starczyć na wszystko... I panienka się napracowała ogniście, wstawała jak młody pan o świcie. Przy niej doili, przy niej cedzili... W pacht puścić nie chciała, choć Herszek dobry grosz za to dawał. Sama zbierała z dzieżek śmietanę, robiła sery, serwatką jałowiznę poić kazała, i dostawała co tydzień worek grosza. Karmiła, ubierała z tego dom cały i jeszcze rok rocznie robiła wotum jakieś. Kupiła lampę przed ołtarz Matki Boskiej, sprawiła złotem szyte antypedyum i chowa już rok trzeci sierotkę po mularzu Balcerze... Aż dociągnęli szczęśliwie do czasu: dali w Warszawie na Kamień kupę tysięcy listów zastawnych i Oktabowicz wziął co swoje!...

Wszystko było dosłownie prawdą w opowieści Wincentego, aż przyszła i na Jana kolej, aby i on od owego spłaconego wierzyciela własność swą odebrał. Pan Piotr drgnął i poczerwieniał, gdy mu raz pierwszy syn powiedział, że kocha córkę Jacka Oktabowicza. — Kochasiu — rzekł zmieszany — kochasiu... czyś ty to dobrze rozważył? Czy masz przywiązanie prawdziwe?...

Patrzył mu w oczy niemal błagająco, aby odpowiedział: nie! Lecz Jan powiedział przeciwnie. — Tak ojcze, mam przywiązanie prawdziwe, przywiązanie głębokie i niezmienne, bo zakorzenione przez lata. Kocham nie od dziś, nie od wczoraj... Kocham tak, jakbym już raz drugi pokochać nie mógł, tak jak ty ojcze, kochałeś niegdyś matkę naszą...

— Ha! rzekł wtedy p. Piotr smutnie — niech się dzieje zatem wola Boża! Tyś Jasiu jest nietylko syn dobry, ale i człowiek rozumny... Bronić ci nie mogę...

— I matka także — dodał — wiem, że i matka także bronić ci nie będzie... My ludzie starzy; nam ze świata, w grób, a wam na świat, na życie. Czasy teraz nowe, nowi ludzie wychodzą na scenę.

— Ojcze — odparł Jan wzruszony — widziałeś z doświadczenia, jak ci ludzie nowi umieją uczciwie, zacnie, szlachetnie pokazać się w potrzebie. Kto wie przytem, czy nam nie trzeba właśnie tych ludzi nowych, aby nas podparli siłą świeżą? Ta wybrana przezemnie kobieta, którą ci chcę przyprowadzić na córkę drugą, a raczej trzecią, bom o pani Emilii zapomniał, nie wniesie w ród nasz stary nic, co by było z tradycyą jego sprzeczne. Przypomni ona tylko to, co w tej tradycyi zagubionem zostało, co w zapomnienie poszło: myśl o pracy i prostotę obyczajów zatraconą... Ojcze, kochałem najpierw kobietę ze krwi szlacheckiej i cóż w niej znalazłem? Znarowienie uczucia, wypaczenie obyczaju cudzoziemskie, wykolejenie ze swojskiego, starego właśnie toru. Może tam było pod tem wszystkiem coś serca naszego — dodał melancholicznie — może było coś uczucia... Wanda kochała bezinteresownie, niewyrachowanie, wiem to... Kochała i może chwytała się sercem tej miłości, jakby zbawienia, którahy nie dała jej odpaść już na zawsze od społeczności swojej... ale cóż skoro nie umiała już kochać dobrze, po naszemu. Czy winna temu matka próżna, która nie widziała sama co czyni z dziecka swego, czy nieszczęśnie wiejący duch czasu? nie wiem... Nie wiem przyczyn, ale skutki boleśnie mi się w sercu odbiły... Tę, najpierw przezemnie kochaną, chętniejbyś ojcze błogosławił, radośniej do serca przycisnął, ale musiałem miłość do niej gwałtem w sobie zabić... Nie była to taka skromnie domowa, w duchu swojskiego obyczaju urobiona, jego potrzebom odpowiadająca, jego wdziękiem piękna dziewczynka, jak niegdyś ojcze, Benisia twoja — nie, była to jakaś kosmopolityczna elegantka, biedna lalka w kosztownych gałgankach, w której pokutowało może coś serca, coś uczucia, lecz nie było już tej siły życia zdrowego, tej powagi myśli, tego surowego pojęcia obowiązku, jakie miały nasze kobiety dawne... Ja przecież potrzebowałem tego ojcze, ja bez tego nie mogłem ślubować kobiecie, nie chciałem jej zrobić matką przyszłego mego pokolenia i zwróciłem się tam, gdzie to znalazłem...

— Niech więc będzie wola Boża kochasiu — powtórzył p. Piotr, kładąc rękę na ramieniu Jana. Idź do matki moje dziecko, i powiedz jej to, coś mnie powiedział. Przyznaję ci w zupełności, że ta twoja Felisia jest dobra i piękna wcale panna, pokocham ją pewnie z czasem, przyzwyczaję się do tej myśli, że kochasiu — nieherbowna!...

Pan Piotr wymówił słowa ostatnie trochę przyciszonym głosem, jak gdyby przez delikatność dla syna, aby mu dźwięk ich przykry serca zbyt nie drasnął. Jan to zrozumiał i uśmiechnął się zlekka; pocałował niemniej z miłością rękę ojcowską, a p. Piotr przycisnął sobie do piersi głowę syna. I stało się rzeczywiście tak, jak sobie przepowiedział w tej chwili: w krótkim bardzo czasie pokochał tak, jak nie kochał nigdy pani Emilii, tak zupełnie jak kochał córkę rodzoną. Może nawet p. Piotrowa, ani Jadwiga tak jej głęboko, doskonale pokochać nie mogły, nie dla tego, aby je dzielił od niej przesąd, bo miały go o wiele mniej niż p. Piotr Kamieński, ale serce kobiet jest więcej zachowawcze pod względem przywiązań. Kiedy raz Felisia niebezpiecznie chorowała, pani Piotrowa padła w drugim pokoju krzyżem, błagając Boga o życie synowej, ale pan Piotr kochał Felisię tkliwiej, więcej rodzicielskiem sercem. Przypomniał sobie jeszcze owe truskawki, które mu niegdyś przysyłała i póki tylko żył, zawsze pamiętał, aby je młodej pani Kamieńskiej posyłano do Kamiennej Woli. — Kochasiu — wołał na ogrodnika, a był nim syn owego Błażeja, który wszystkie białe kwiaty Feliksami nazywał — proszę cię kochasiu, aby dla pani Janowej był zawsze koszyczek truskawek pięknych.

I posyłano je do Kamiennej Woli tak regularnie, jakto niegdyś Felisia Oktabowiczówna czyniła, a jak je państwo Janostwo z cudownym smakiem zajadali! jak Felisia była wtedy prześliczna w czepeczku z niebieskiemi wstążeczkami, w który się często, do porannej szczególniej tualety, stroić lubiła! Ale Jan, podobnie jak niegdyś tatunio, miał predylekcyę osobliwą do jej warkoczy, i nieraz elegancki ten czepeczek na mocy władzy mężowskiej z głowy zdjął, włosy pod nim schowane z niewoli wyzwolił, jasne warkocze jak miejskiej dziewczynce na ramiona pani swojej puścił i nieraz potem klękł, aby ich końce całować...

Czytelnik wie już z tego, że młodzi państwo Kamień-

scy mieszkali w Kamiennej Woli, którą Jan tak jak niegdyś dzierżawą od ojca trzymał. Pan Jacek nie mógł Felisi dać na razie posagu żadnego, bo Chmielnik, który kupił, nad spodziewanie wysoko poszedł i kto wie czyby go nawet Oktabowicz był nabywał, gdyby nie leżał o miedzę od Kamienia. Że p. Piotr i Oktabowicza wkrótce bardzo polubił, bywał ten ostatni w Kamieniu bardzo często, a już w niedziele na obiad zawsze przyjeżdżał, a raczej po sumie, z kościoła przychodził, a i młodzi państwo z Kamiennej Woli co niedziela na obiedzie u rodziców bywali, z rzadkim chyba wyjątkiem, kiedy się zdarzyło, której niedzieli lub świąt do Wronek jechać. Oktabowicz przypomniał panu Piotrowi zapomnianego maryasza i często we dwóch z sobą grywali; pan Piotr nazywał go z początku: mój sąsiedzie... sąsiedzie dobrodzieju.... Ale potem, głównie od urodzin pierwszego dziecka Jana, zaczął mu mówić tak wyjątkowo jak tylko panu Pawłowi ze Smardzewa: — panie bracie!... bracie....

I tylko jeden dramat bolesny rozegrał się w łonie rodziny: pan Władysław doszedł raz do takiego poróżnienia z żoną, że się było można wiecznego rozdziału lękać. Poszło o rzecz bardzo małą, drobnostkę, która przecież tak przeważyła szalę uczuć Władysława, jak czasem kropla jedna przepełni kielich po brzegi nalany. Zdarzyło się to niedługo po ślubie Jana, jakoś pod wiosnę. Ktoś ze służby folwarcznej Władysławowi posłuszeństwa chybił; ten zawsze gwałtowny, a teraz na punkcie uszanowania swej pańskiej godności wielce drażliwy, sfukał go ostro i usłyszał mruknięcie posępne o „samej pani“ na co wszystka krew zarzała mu w żyłach. Nieszczęśliwca o ziemię rzucił, biczem wyrwanym z rąk fornala wysmagał i do dworu, do jadalnego pokoju gdzie jeszcze pani Emilia z matką przy śniadaniu siedziały, wpadł z impetem, zwracając się z pretensyą do prezesowej, że jej nietakt służbę uzuchwala. Od słowa do słowa, przyszło do sceny przykrej bardzo, którą aż lokaje w kredensie słyszeli: do wymówek już szczerych i raz pierwszy zupełnie już konwenansu wolnych. Pan Władysław zapowiedział żonie, że musi między nim a matką wybierać, bo on z nią dłużej pod jednym dachem nie zostanie. Że zaś Wronki, głównie za posag prezesowej kupione, były w trzech czwartych jej własnością, kazał się pani Emilii natychmiast wraz z dzieckiem zabierać, i albo do jego rodziców, do Kamienia natychmiast z nim jechać, albo rozstać się z nim na zawsze. Córka naturalnie nie mogła tak łatwo podobnego wyboru zrobić, chciała niby godzić, a doszła jedynie do namiętnej też sceny z mężem i p. Władysław w niespełna godzinę potem wyjechał, a wyjechał tak, jak ktoś, co wracać niema. Śpiącego jeszcze synka z kręcącą się łzą w oku pocałował, p. Emilii zapowiedział, że jej go odbierze, skoro tylko dojdzie lat, prawem na to przepisanych, aby syn ojcu mógł być oddany i jeszcze ze wzruszenia niewychłodły do Jana, do Kamiennej Woli zajechał. Było to w szczęśliwem życiu rodziny jak nagłe wpadnięcie bomby piorunującej: p. Piotr, p. Piotrowa, Jadwiga ręce załamali, Felisia aż się ze łzami swemi chowała. Jan naturalnie pośrednictwa podjąć się musiał, ale było niełatwe i nad wyraz bolesne: duma braterska utrudniała je bardzo, obcego zaś na to użyć przykrzejszą jeszcze byłoby rzeczą, trzeba mu było przecież uzbroić się w całą krew zimną, jaką posiadał, aby zaraz po pierwszych wyrazach zamienionych z prezesową do domu nie zawrócić i fatalnego słowa wiecznego rozdziału męża z żoną nie wymówić. Ale i pani Emilia miała serce zranione, nie spodziewała się takiego poważnego rzeczy obrotu, duma małżonki dotąd gdzieś się głęboko w niej kryjąca, została też zaciętością matki dotknięta, a ukazanie się nagłe dziecka, niezmiernie do ojca podobnego, uderzyło na jej uczucie jak gdyby szturmem gwałtownym. Wybuchnęła łzami namiętnemi, schwyciła syna za ręce, a że właśnie prezesowa tylko co wymówiła te słowa, że jednak do tej pory nikt, prócz niej, nie troszczył się o utrzymanie nawet dziecka Władysława, ona się z niem rzuciła ku Janowi. — Usunę mamie ten ciężar! zawołała — pójdę za mężem, jakim to była powinna zrobić zaraz... Jego rodzice nas nie wypchną, przyjmą na czas jakiś, a potem pójdziemy pracować jak inni ludzie robią. — Prawda, że to mój obowiązek ... dodała zwracając się do Jana. — Jesteś pan nietylko bratem mego męża, ale i człowiekiem uczciwym... Radź mi i powiedz prawdę: czy żona nie powinna iść zawsze i wszędzie za mężem i wszelki los jego dzielić? Czy nie powinna rzucić domu, w którym on przebywać nie może, i gdzie dziecko jego słyszy lżone imię ojca?...

Jan nie chciał rzeczy między matką i córką na kant stawiać, ale i on zrozumiał, że Władysław nie mógł już do dawnego życia wracać, żona zaś nie powinna się była z mężem w takiej bolesnej chwili rozdzielać, ojca z dzieckiem rozłączać. Choć więc bolesne rozdrażnienie dwóch kobiet nieco załagodził, bratowę jednak i małego Jasia z sobą zaraz zabrał i do Kamienia do rodziców odwiózł. Dwie mile drogi jechać trzeba było, miał też czas do długiej, poważnej rozmowy z panią Emilią, miał czas do wypowiedzenia jej całej prawdy, jak ten właśnie człowiek uczciwy, do którego po radę się zwróciła. Zmoczyła pani Emilia całą chustkę łzami, zmoczyła niemi nawet jasną główkę synka swego, ale były to łzy potrzebnie wylane. Nikt jej nie powiedział nigdy słów, jakie usłyszała teraz: słów surowych, tak przecież łagodnie i poważnie mówionych, że szły w serce, choć przenikały tam boleśnie. Scena następna zobaczenia się męża z żoną, i ojca z dzieckiem musiała też jakiegoś przewrotu dokonać. Władysław nie spodziewający się tego co zaszło, w pierwszej chwili osłupiał, ujrzawszy panią Emilię i dziecko, które do niego z powozu miłośnie rączki wyciągnęło, a gdy nareszcie syna w objęcia z płaczem porwał, można było myśleć, że go udusi. Potem zalewającej się też łzami żonie, którą Jadwiga z panią Piotrową tuliły, do nóg się rzucił, przysięgał, że ją zawsze kochał, że nie dla samych pieniędzy się z nią żenił i niema słów boleśniejszych, mocniej upokarzających mężczyznę, nad te, które mu wzruszenie z ust wyrwało, a przecież dobrze, że wyrwało. Było to jak burza, która oczyszcza atmosferę: to co spokojnie i z namysłem nigdy by powiedzianem być nie mogło, powiedzianem zostało. Wymówiono sobie wszystko i wszystko przebaczono, położenie zatem wyjaśniło się, i ciągnąc dalej porównanie, dodam: powietrze oczyściło się ze złych miazmatów. Przy pomocy pana Pawła ze Smardzewa przyszło do zgody i z prezesową, tylko już Jan tu działał, aby dawny stosunek zięcia ze świekrą nie wrócił. Władysław wziął urzędownie Wronki w dzierżawę od prezesowej i żony. Oktabowicz dał Janowi kilkanaście tysięcy, które ten bratu pożyczył, aby inwentarze były jego własnością, a on najzupełniejszym panem w domu, który stał się nakoniec jego własnym domem. Ponieważ rzecz cała robiła się bardzo głośno, wszyscy o tem wiedzieli i nie było czego taić. Prezesowa miała wyprowadzić się do Warszawy i tylko zostawała we Wronkach do Ś-go Jana, to jest do czasu, w którym mogłaby znaleść stałe mieszkanie. Ale nie przyszło do tego: rozdział matki wdowy z jedyną córką, z jedyną istotą, jaką miała na świecie, byłby zbyt bolesną rzeczą i nie nastąpił. Nim Ś-ty Jan przyszedł, rany wzajemnie zadane zabliźniły się: pani Emilia stojąc między mężem i matką zrobiła tak z ich sercami, jak czyni się nieraz z dłońmi ludzi zwaśnionych. Wzięła z jednej strony serce matki, z drugiej serce męża i usiłowała je zbliżyć do siebie, ciągnąc

zrazu gwałtem, aż się zetknąwszy, pojednały. Przyzwyczajenie, które jest wielką siłą, wspólne pożycie, dokonało reszty. Prezesowa płaciła zięciowi za utrzymanie, a że dzieci zaczęły sypać się pp. Władysławostwu jak z rękawa, babka upokorzona w duszy położeniem, jakie zajmowała względem rodziny jedynej córki, chciała tytułem obdarowania wnuków ustąpić Władysławowi raty dzierżawnej, ale ten podziękował grzecznie. — Niech mama dobrodziejka składa to na posag dla wnuczek — rzekł z uśmiechem mimowoli gorzkim, bo upokorzenia przebyte nie zapominają się nigdy zupełnie.

I tak rana ta rodzinna szczęśliwie zagojoną została. Dokonał tego głównie ten łagodny, miłosny duch, który z domu rodzicielskiego wiał zawsze na wszystkie dzieci p. Piotra: synowie marnotrawni wracali tam i nie odpychano ich nigdy, a przeciwnie przytulono zawsze do serca, ogrzano u ogniska rodzinnego. I znajdowali tem sposobem ten moralny punkt oparcia, który ich czynił lepszymi i mocniejszymi na zawody życia, a zyskiwano na tem wzajemnie, bo rodzina jest to zawsze taka organiczna całość, że nie można nic z niej oderwać bez szkody ogólnej. Odcięty członek ciała zostawia zawsze ból po sobie i jak starzy żołnierze kalecy dowodzą, że ich boli noga, ręka, której nie mają, tak rodziny boleć muszą po odtrąconem, odpadłem od nich dziecięciu. Tu, Bogu dzięki, tak się nie stało. Wprawdzie Jan pozostał zawsze najdroższym, najbardziej cenionym synem rodziców, był zawsze prawą ręką ojcowską, jak p. Piotr z miłością o nim mawiał, stanowił mimowolnie jak gdyby przyszłą głowę rodziny, ale i dwaj starsi nie odpadli nigdy w zupełności od rodzinnego gniazda. Pan Władysław zajeżdżał często do rodziców ze sztabem małych krzykaczy, tak podobnych do niego jak dwie krople wody; pan Adam zawsze przybywał z Warszawy na święta i imieniny matki, gdzie starym obyczajem posyłano po niego konie. Nie żenił się i studyi historycznych również nie pisał. Powiedział raz jeden Felisi z uśmiechem smętnym, że to jej wina. — Łaskawsze na mnie usposobienie kogoś, co mnie krytykował, byłoby może dodało mi serca — rzekł i westchnął mimowoli, a ona się zarumieniła dziewczęcym rumieńcem.

Pisał przecież książki prawne i stanowczo zwrócił się do tego zawodu, w którym zaznaczył się głównie na polu naukowem. Mówił o sobie zawsze jak o starym kawalerze i nieraz powtórzył Janowi, powiedziane niegdyś słowa, że przy jego ognisku przyjdzie szukać ciepłego kątka na lata życia ostatnie.

I Jadwiga powiadała to również ukochanemu bratu. Zawsze cicha, łagodna, z pogodną dobrocią na twarzy, służyła starym rodzicom z miłością zawsze jednakową i gdyby mogli byli żyć tak długo jak ona, to biedne serce nie uczułoby może nigdy całej goryczy osamotnienia swego. Cóż przecież stać się z nią miało z chwilą, gdy raz odejdą na odpoczynek wiekuisty? Mimo niezależności majątkowej, gdzież miała iść zakładać dom nowy; sama jedna i oderwana nagle od miejsc i osób, do których serce jej przyrosło niejako przez wszystkie lata jej żywota? Nie łatwo tak odwrócić się od wspomnień całej młodości, zostawić je wszystkie po za sobą i pod schyłek życia szukać miejsca nowego, aby w niem wegetować jak roślina oderwana od gruntu swego. — Będę pomagać twojej żonie w wychowaniu dzieci waszych — mówiła niekiedy Janowi, gdy czasem myśl jej zaczepiła smutnie o przyszłość. Pokoik jej panieński, który zajmowała zawsze, był na boku, to też myślała sobie że kiedyś, skoro po śmierci rodziców Jan wejdzie w posiadanie Kamienia, co było rzeczą naturalną, ona usunie się nieznacznie na ten plan drugi, który mimo całej dobroci Felisi, całej miłości Jana dla siostry, musiał z konieczności być jej przeznaczeniem. Umiała piec pewne wyborne ciastka makaronikowe, o które wszystkie malcy Władysława i Jana pochlebiali jej się niezmiernie, mówiła też z uśmiechem, że kiedyś stara ciocia Jadwisia będzie przyciągać do swego pokoiku świat młody makaronikami.

Niejedna czytelniczka może z żalem zawoła, że dobra powieść powinnaby niekończyć się smutnie, powinnaby obdzielić wszystkich równym działem szczęścia! Lecz cóż, kiedy życie robić tak nie chce! Wszędzie i zawsze, na każdym kącie ziemi znajdowała się i znajdować będzie pewna liczba ludzi, którym życie nie dało pełni szczęścia, pełni miłości, którzy więc po smętnych tęsknotach młodości, muszą mieć na starość smętniejsze jeszcze uczucie osamotnienia. Musi tak być: jedni jak Jadwiga są zbyt łagodni, zbyt cichego, zalękanego serca, aby dostać sobie szczęście w świecie krzykliwych, samolubnych, dla swojego tylko dobra zręcznie ruszających się ludzi, drudzy zrobili z tego szczęścia ofiarę, poświęcili je dla korzyści innych, albo jeszcze zająwszy się jakąś myślą wielką, przywiązawszy serce do jakiegoś ukochania idealnego, zapomnieli chwytać je w porę, jak ów Szylerowski poeta u Jowiszowego tronu. Przebywał w niebie, gdy ludzie dzielili między sobą skarby ziemi, gdy więc zstąpił ztamtąd na powrót, nic nie było, coby mógł wziąć na wyłączną swą własność — nic, nic już dla niego nie było!...

Tacy wszyscy — tacy wogóle wydziedziczeni, powinniby się uczyć od Jadwigi tajemnicy zdobycia sobie choć coś szczęścia: coś miłości i wesela. Powinni mieć zapas słodyczy, któraby przynęcała młodość do smutnych i starzejących się samotnie.

Na pociechę tych czytelniczek, co trochę na odwrót światu upominają się za upośledzonemi od losu, dodać muszę, że słodycz, którą obdarzała Jadwiga, podziałała szczęśliwie. Gdy córeczkę Jana, małą Benisię, zaczęto uczyć Zdrowaś Marya i mówiono jej o Matce Boskiej, dziewczynka dopominała się gwałtem o Ciotkę Boską. Nie mogła pojąć, aby Bóg odmówił sobie posiadania cioci, z którą tak słodko się pieścić, do której tak dobrze się przytulić, gdy na kolana weźmie, śpiewając piosenki piękne „o wiernych pieskach, o białych kotkach, jasnych aniołkach, biednych sierotkach!..“

Ale na zakończenie to mi jeszcze dołożyć trzeba, że Jan nie pozbył się nigdy woli kamiennej. I w koło niego, jak niegdyś w koło p. Piotra, toczyły się fale życia, które cicho i nieznacznie porywają tych, co są bez oporu. I dla niego małe cnoty były łatwe, a w około mnóstwo sposobności do błędów, które też zdawały się małemi z pozoru. Dość mu było tylko się trochę opuścić leniwie, a i od niego uciekłaby powoli rzeczywista praca, rzeczywista powaga, rzeczywiste przewodnictwo w kółku ludzi, którym przewodniczyć był obowiązany. Prędkoby mu znikł i zatarł się przed oczyma wyższy ideał ojca w rodzinie, gospodarza w gromadzie, obywatela tego kąta ziemi, na którym go Bóg postawił. Tylko — powtarzam — trochę się w miękkości zasiedzieć, myślą zaspać, do pracy ociężyć, od trudu odwyknąć i wzroku wyżej nie podnosić, szerzej nie puszczać, jak to obejście nasze domowe, gdzie wszyscy kochasiu, panowie bracia a słudzy, gdzie na starej lipie nad stawem druh bocian wiosną klekocze, a za dworem na grzędach truskawki rosną. O! mogą wtedy zaskoczyć nas nagle rzeczy przerażające: może odbiedz nas dostatek, łaska Boża, nawet wdzięczność dzieci i trzeba wtedy ustąpić innym naszego miejsca, oddać ojcowizny stare, wyjść z gniazd rodzinnych i bijąc się w piersi boleśnie, wołać jak pan Piotr niegdyś: — Moja wina Panie! moja wina niedbalstwa, lenistwa, ospałości duchowej!

Ale na szczęście z Janem nie stało się tak nigdy — Jan miał *wolę kamienną*.

Koniec.

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.